

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

Dziś dodatek pt:

Walka między głównymi:
państwami
kapitalistycznymi
o panowanie w koloniach
i w krajach zależnych

A. SERAFIMOWICZ

W gościnie u Lenina

Włodzimierza Lenina słyszałem nieraz na zjazdach i konferencjach. Zawsze uderzało mnie, że Lenin mówił zwykłe, proste słowa, było kolosalne. Raz w życiu rozmawiałem z Leninem w cztery oczy. Mam ochotę opowiedzieć o tym jedynym, niezapomnianym dniu — dniu, kiedy gościłem u Lenina.

Było już pod wieczór, kiedy w mieszkaniu moim zabrzmiał głos dzwonka, wszedł jakiś człowiek i powiedział:

— Towarzysz Lenin przysłał po was auto.

Za pięć minut byłem na Kremlu. Młody czerwonogwardysta zaprowadził mnie na piętro, gdzie mieściło się mieszkanie Iljicza. Ocknąwszy się w małym, ciemnym pokoju, zacząłem się rozglądać i w tym momencie usłyszałem szybkie, lekkie kroki.

Z dalszych pokoi wyszedł Lenin. W jednym momencie ogarnął mnie od stóp do głów oczyma i ściskając serdecznie dłoń zapraszał uprzejmie.

— No, chodźmy, chodźmy...

Weszliśmy do stołowego pokoju; był to ciemny, ale niezwykle schludny i spokojny pokój zastawiony najwykleszszymi i porządnie nawet podniszczonymi meblami. Bywałem często w mieszkaniach robotniczych urzędników znacznie okazalej. Najwidoczniej Lenin w życiu osobistym przestrzegał surowo zasady bytowania w takich samych warunkach, w jakich żyły wówczas masy robotnicze.

— Co słychać? Z kim się najczęściej spotykacie? Z robotnikami czy z inteligencją? Opowiedzcie — nalegał Włodzimierz Iljicz, nie spuszczać z mnie wzroku jak gdyby w obawie, że mu ucieknę.

— Tak po trosze, i z tymi, i z tymi.

Byłem zmieszany. Co będę opowiadał Leninowi — myślałem — wszystko przecież, co mógłbym mu

opowiedzieć, zna on już od dawna i czyż może go to interesować.

Włodzimierz Iljicz spostrzegł natychmiast moje zakłopotanie i żeby dać mi czas ochłonąć, zwrócił się do Nadziei Konstantynowny:

— Może być nas tak herbatką poczęstowała...

Nie mogłem sobie wyobrazić innego człowieka, który będąc tak wysoko postawiony nad innymi, byłby zarazem tak pozbawiony pychy — i tak pełny najwyższego zainteresowania dla „ludzi prostych”.

Owego pamiętnego wieczoru poznałem Lenina całkiem innego, niepodobnego do wodza i trybuna, jakim go spotykałem wcześniej na zjazdach i konferencjach. Przede mną był inny Lenin — wspaniały towarzysz, wesoły, człowiek pełen najwyższego, nieugaszzonego zainteresowania dla wszystkich spraw świata, niezwyklej serdeczności i sympatii dla ludzi.

— Piszecie coś? — zapytał.

— Trudno jest obecnie pisać: nadmiar pracy organizacyjnej.

Iljicz zamyślił się głęboko.

— Tak, pracy organizacyjnej w całym kraju jest dużo. Wy, pisarze, powinniście koniecznie przyciągnąć do literatury robotników. Wszystkie wysiłki na to trzeba skierować. Trzeba się szczerze radować każdym opowiadaniem napisanym przez robotników. Czy w Waszym piśmie robotnicy zamieszczają swoje utwory?

— Niewiele, Włodzimierzu Iljiczu, widocznie brak im umiejętności, kultury.

Spojrzał na mnie roześmianym, zmrużonymi oczyma:

— To nie, nauczaj się pisać i będziemy mieli znakomitą, najlepszą w świecie literaturę proletariacką.

W słowach tych brzmiała wielka wiara w człowieka, sztukę rosyjską, niezachwiana wiara i ukochna, nie pracującego ludu. Na stole pojawił się samowar poobijany, pogięty, zniszczony; szklanki, kubeczki, podstawki — wszystko pozbiierane, najroźniejsze; sam poczęstunek przedstawiał się też niezwykle skromnie.

Zajęty od rana do nocy, skomplikowaną trudną pracą, Włodzimierz

Iljicz zapomniał całkowicie o sobie, zadowalał się byle czym. I w tej chwili, siedząc za stołem Iljicza, wydawało mi się, że pociągamy herbatę, gdzieś na zapadłej głuchej wsi; siedzimy przy szmerzącym samowarze i popijamy, parząc sobie usta, z ostrożnością i oszczędnie przekąsając cukrem.

Z uśmiechem, ze zmrużonymi oczyma Lenin oczekiwał wciąż mojej opowieści. „Tak, trzeba przecież — myślałem — opowiedzieć Włodzimierzowi Leninowi o robotnikach, przecież po to właśnie mnie on zaprosił, żeby móc zajrzeć w ten świat, od którego bywa czasami odgródzony swą niezmierzającą, kolosalną pracą”.

— Niedawno byłem na stacji Łosinyj-Ostrów — zacząłem, zdobawając się na odwagę. — Jest tam olbrzymi arsenał, w którym pracuje ponad tysiąc robotników.

Włodzimierz Iljicz przysunął się i pochylił ku mnie, pełen sympatii i uwagi. Z niezwyklej znajomościem dłań ożywił i zainteresowaniem począł rozpytywać dokładnie o życie robotników arsenału, o ich zarobki, pracę, o szkoły, o wy-

poczynek. Na podstawie tych, tak celnych i przenikliwych pytań, dojrzałem w Iljicu jakiegoś wyjątkowego odczucia i głębokie organiczne rozumienie wszystkiego, co w obecnej chwili przeżywa klasa robotnicza. To, co mówił Lenin, było skąpe w słowa, ale zasobne w myśl.

Widząc zainteresowanie Iljicza, opowiedziałem mu owego wieczora o tym, jak robotnicy arsenału umyślili sobie wybudować świetlicę. Nie mieli na to żadnych funduszy, ani też potrzebnych materiałów. Obwodowy Komitet Wykonawczy nie był w stanie przyjąć im z pomocą. Wówczas robotnicy na specjalnym zebraniu postanowili zamienić na świetlicę... stajnię.

Lenin słuchał uważnie mojego opowiadania. Od skroni ku brzegom powiek nabiegały zmarszczki, oczy rzuciły pogodą, humorem.

— Poczekajcie, jakże to, że stajni — świetlica? — zapytał Iljicz pełen zwrócenia.

— W Łosinyj-Ostrowie mieszkał przedtem pewien obszarnik. Miał on hodowlę koni szlachetnej

(Dokończenie na str. 5-ej)

List do redakcji

Mogę znów studiować

Po ukończeniu Uniwersyteckiego Studium Przygotowawczego w r. 1951 zostałem skierowany na wydział weterynarii przy UMCS w Lublinie.

Byłem szczęśliwy, że doczekałem tego, o czym za czasów sanacji nie mogłem nawet marzyć. Zasiadłem na ławce wraz ze swymi kolegami, którzy w większości na pewno pragnęli tego samego co i ja: zdobyć wiedzę i w przyszłości pracować jak najlepiej.

Zbliżał się ku końcowi pierwszy rok mých studiów, rok dużego wysiłku i pracy nad książką. W tym właśnie czasie zachorowałem. Stwierdzono gruźlicę kości, która zlokalizowała się w stawie kolanowym.

W pierwszej chwili straciłem nadzieję, że powrócę kiedyś do swej uczelni, że znów będę mógł się uczyć. Po niedługim czasie przekonałem się jednak, że nie jestem osamotniony, że są ludzie, którzy pomogą mi stan mego zdrowia doprowadzić do równowagi. Zostałem skierowany na obserwację i leczenie do II Kliniki AM w Lublinie. Tu pod troskliwym okiem prof. Skubiszewskiego, adiunktów dr. Zakrysia i dr. Kryńskiego, przy stosowaniu wszelkich zabiegów, stan mego zdrowia uległ poprawie.

W połowie listopada zostałem wysłany do sanatorium w Kamiennym Górze, gdzie przebywałem około czterech miesięcy. Tu jeszcze bardziej przekonałem się jak wielką opieką otacza się każdego chorego. Bezgraniczna cierpliwość i ojcowski wprost stosunek do pacjentów cechowały przede wszyst-

kim dyrektora sanatorium dr. Michela i dr. Radwana. Ich wytrwała praca nad każdym chorym często wynagradza powrót do zdrowia nawet beznadziejnie chorych.

Polepszało się także moje zdrowie. Wreszcie opuściłem sanatorium. W czasie choroby korzystałem z urlopu dziekańskiego i po powrocie z sanatorium byłem ciągle pod obserwacją lekarzy zapobiegających jakimkolwiek komplikacjom mojej choroby. W roku bieżącym jestem studentem II roku weterynarii i w dalszym ciągu kontynuuję swój umiłowany kierunek studiów.

Po przybyciu na uczelnię zostałem skierowany do nowopowstałego Pólsanatorium Studenckiego, gdzie jestem pod opieką jego kierownika — dr. Lesiaka, otaczającego serdeczną troską wszystkich studentów — profilaktyków.

Młodzież Pólsanatorium Studenckiego w pełni docenia opiekę i pieczołowitość, jaką rozciąga nad nią zarówno Wydział Zdrowia Prez. MRN jak i poszczególni lekarze. Mogę dziś z całym przekonaniem powiedzieć, że zasiadam na ławie uniwersyteckiej ze swymi kolegami dzięki Rządowi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Partii, dzięki opiece jaką otoczona jest cała młodzież polska. Dzięki temu, że władza ludowa postawiła na straży naszego zdrowia ludzi rozumiejących swe zadania, ludzi oddanych swej pracy i kochających człowieka.

JÓZEF RUSZKOWSKI
UMCS — Lublin

Dziś w numerze:

- Wprowadziłem metodę Zandarowej str 3
- W naszym zespole str 4
- O krakowianach i Innych ciekawych sprawach str 6
- Flaubert literatury portugalskiej str 7
- Pokrzywy str 8

MAKSYM TANK

Nad Razlivem

Tu Lenin był. Tu wszędzie ślady Jego: I tam gdzie szalas stał i u tych brzegów Razliwu szerokiego. Wspomnieniami O Nim żyć zdaje się plusk każdej fali, Bałtycki o Nim mówi wiatr pieśniami, Szumią i gną się zielone szuwary.

Przystaliśmy chwilę przy szalasi. Jak bije serce! Czujesz się pod dłoń. I nagle widzisz — tuż przed sobą zda się, Iljicza twarz, tak dobrze ci znajoma.

Ale daremnie! Już dawno Go nie ma. Tylko gaj młody szumi wkoło, śpiewa i na jeziorze plusk fali swobodny. Iljicz wyruszył stąd w świat już od dawna, W dni października widziano Go w Smolnym.

Wraz ze Stalinem wiódł w te srogie lata Narody Rosji, darząc je zwycięstwem.

Spytaj Hindusów: czy był nad Gangesem? Był tu, odrzekną. Podobnie — kulisi, Wszakże przyniósł do nich do Szanghaju. Szedł do autów, osad, miast, szedł do wsi, I do najdalszych trafiał w świecie krajów.

Dzisiaj, powiedzą, widzieli Go znówu U partyzantów, nocą przy ogniskach, W ich orlich gniazdach, na górskich urwiskach, Gdzieś w Pirenejach, wśród Balkanu śniegów.

Gdziekolwiek tylko wielki Lenin stał, Pod sztandar walki lud zewsząd się garnał.

O Nim złożyły tych podań tysiące Narody, gwiazdy, oceany, lany... A jam to słyszał od olśniew rosnących, Gdzie pluszcze Razliv wśród brzegów rozlany.

Przełożył STEFAN KLUKOWSKI

pracować — ZNACZY ROSNAĆ

TADEUSZ JASZCZYK

„Kolo ZMP pierwszego roku transportu na WSE w Szczecinie, pomimo swego krótkiego istnienia, potrafiło przygotować 7 osób do wstąpienia w szeregi ZMP. Kolo to w dalszym ciągu pracuje nad pozostawianymi kolegami nieorganizowanymi, ażeby w najbliższej przyszłości stali się zetempowcami”.

Z listu BOGDANA RÓŻALSKIEGO — korespondenta z WSE w Szczecinie.

Gdy Edek Czerniakowski przyjechał do Szczecina, jesień była już w całej pełni. Aleja Wojska Polskiego podobna była do pomarańczowo-żółtego tunelu. Pod słonecznym słońcem opadły liście. Gdy szedł rano na uczelnię, w porannej mgle niesło się od portu radosne porykiwanie syren okrętowych.

Wybrano go przewodniczącym kół ZMP. W te pierwsze dni razem z Różalskim i Olczakiem z Zarządu Uczelnianego długo siedzieli wieczorami, radząc nad tym, by na ich pierwszym roku transportu życie stało się ciekawe i porywające.

Lista studentów niewiele mówiła — na roku znajdowało się 116 młodych ludzi przybyłych ze wszystkich stron Polski. W tej liczbie 72 studentów posiadało legitymacje zetempowskie.

Olczak — opiekun ich kół — patrzył na pokratkowaną kartę z nazwiskami zetempowców. — Jeśli cyfra na tej liście — powiedział wreszcie — stale będzie się powiększać, będzie to świadczyć o tym, że pracujemy dobrze.

✱

Najwięcej kłopotu było z fizyką — wielu miało w tej dziedzinie zaległości ze szkoły średniej. Kolektywy naukowe potworzyli w ten sposób, że mocniejszy w przedmiocie przydzielono do grup słabszych.

W przerwach między wykładami organizowano błyskawiczne zebrania organizatorów grup. — No, jak tam u

was, jakie trudności? — pytał Czerniakowski.

Były trudności — np. Strugowna i Michalska opuszczają się, już czterech ćwiczeń z fizyki nie mają zaliczonych.

Po zajęciach rozmawiali z dziewczętami — tak o wszystkim po trochu. Wreszcie zeszli na temat nauki. Różalski odwoływał się do ich ambicji. — Jak wam nie wstyd wobec całego kursu? Jeśli macie trudności, chętnie pomożemy. Ale tu trzeba się wziąć w karby, przecież wszyscy na was patrzą i czekają co zrobicie.

W kilka dni po tej rozmowie Bogdan tracił Edka w bok: — Słyszysz? Zaliczyli już wszystkie zaległości.

✱

Do stołówki, która znajduje się w suterenu gmachu uczelni, chodzi się po to, żeby zjeść. Czy tylko? — nie. — Ktoś kiedyś rzucił przy obiedzie: — Nie wiecie gdzie stołuje się Olek Szafraniak? Sądząc po jego wyglądzie, niezbyt dobrze to stołował.

Gdy go zapytali, tłumaczył zmieszany: — Widzicie, nie zawsze starczy mi pieniędzy. Jakże mogło stać się? Stypendium częściowe daje się studentom, którzy otrzymują po sobie z domu. Szafraniak jej nie ma z domu. Szafraniak jej nie otrzymywał. Jego ojciec jest nauczycielem wiejskim, niewiele zarabia.

Mają swego przedstawiciela w Komisji Stypendialnej — ten zalał całą sprawę — Olkowi przyznano stypendium całkowite i jednorazową zapomogę.

Z tego zdarzenia aktyw kół wysnuł wniosek — niby się znamy, jesteśmy ze sobą na ty, a w rzeczywistości niewiele możemy powiedzieć o kolegach,

W grupach przeprowadzono zebrania-przeglądy. Takie serdeczne rozmowy o wszystkich i każdym z osobna. Każdy mówił jak daje sobie radę z nauką i życiem, jakie ma trudności. W efekcie jeszcze kilka osób skrzywdzonych czy to przez biurokrację, czy przez przecenienie, otrzymało stypendia i zapomogi. Przydzielono dodatkową pomoc tym, którzy mieli trudności z nauką.

Pracę społeczną rozłożyli na wszystkich studentów roku, według zdolności i chęci, na ZMP-owców i nieorganizowanych. Taki np. Tadek Wasilewski pracuje w KU ZSP jako instruktor do spraw nauki, Ania Figurkowska jest sekretarzem kół TPPR, Józef Jabłoński — kierownikiem kolektywu naukowego.

Chociaż — nie tylko dlatego, żeby wszyscy mieli co robić, rozłożyli funkcje. Pamiętali o słowach Olczaka — rośnie jedynie dobra organizacja.

Gdy pytasz ich o tę pracę, trudno im odpowiedzieć, a Edek owija wszystko w takie górnołotne frazesy, że trudno się połapać.

Ale pytamy, co sądzą o pracy zetempowców? Ania Figurkowska. — Wiecej — odpowiada — jestem sierotą, wychowano mnie w klasztorze, w szkole średniej nie lubiłam ZMP-owców, bo odgradzali się od nas, mieli swoje życie, o którym mało wiedzieliśmy, a ci na naszym roku są tacy jacyś swoi, bezpośredni, potrafią sami pracować i innym pokazać sens pracy, sens naszego życia.

✱

Niedawno na grupie TK 12 rozpatrywano przykrą sprawę. Kasprzak chciał tramwajem bez biletu. Konduktorka zrobiła mu awanturę. Mała sprawa, a wielki wstyd,

(Dokończenie na str. 3-ej)

Sprawa NIE TYLKO EGZAMINÓW

Rzecz działa się przed sesją letnią na jednej — nie ważne zresztą w tej chwili na której — uczelni w Polsce.

Konsultacje cieszyły się dużą frekwencją. Repetytorium z ekonomii, przewidziane na 2 godziny — trwało przeszło trzy — tyle padło pytań i problemów. Plan pracy przedsesyjnej, przewidujący przeglądy grup, aktywizację zespołów samopomocy w nauce i otaczanie szczególną opieką słabszych, był w zasadzie realizowany. Gdy przyszło jednak do egzaminów, aktywność została zaskoczona przykrymi niespodziankami.

Oto Jurek, choć nigdy nie uchodził za słabego w nauce, a na wszystkich repetytoriach i konsultacjach uczęszczał punktualnie — z trudem dostał trójkę z ekonomii. Okazało się, że nie rozumie istoty sojuszu robotniczo — chłopskiego, mimo że trójjedyną formułę Lenina recytuje bez zająknięcia. Zocha nie stanęła do egzaminów w ogóle — okazało się, że ma poważne kłopoty rodzinne.

Podobnych wypadków było więcej — czyżby plan nie przewidywał jakiejś ważnej formy pomocy w nauce i kontroli przygotowania?

Nie, plan był w zasadzie dobry. Pomyślano o zaopatrzeniu w skrypty i o agitacji i o rozrywce po ciężkich dniach egzaminów. O co więc chodzi?

Pytanie to stało się i obecnie, gdy omawiano przygotowania do sesji zimowej. Co zrobić żeby nie powtórzyła się sytuacja z roku ubiegłego? Wszyscy czuli, że czegoś brak.

W okresie półrocznej pracy przyswojono sobie wytyczne XII Plenum ZG ZMP. Obyło się IX Plenum KC PZPR. Czy po tych, tak ważnych wydarzeniach politycznych, praca przedsesyjna ma być prowadzona tak samo? Czy jedyną zmianą ma być przyjęcie przez dziekanat od organizacji drobniawej i absorbującej czas sprawozdawczości z przebiegu sesji?

*

Charakterystyczne dla każdego okresu przygotowań do sesji jest silne wzmocnienie pracy zespołów samopomocy w nauce. Ludzie — bardziej niż kiedykolwiek — odczuwają potrzebę skontrolowania swych wiadomości, wyjaśnienia kwestii niezrozumiałych. Zacieśniają się kolektywy na grupach, zaczynają wychodzić na jaw trudności

ci, których w normalnym biegu życia na uczelni nie dostrzegano.

Niemają czasu i wysiłku kosztuje przygotowanie się do przedmiotów ideologicznych — marksizmu-leninizmu, ekonomii politycznej. W czasie wspólnej nauki ujawniają się wątpliwości światopoglądowe i ideologiczne, właśnie przy pracy nad tymi przedmiotami.

Atmosfera wspólnej nauki wychodzi poza salę ćwiczeń, poza mury uczelni. Koledzy odwiedzają się nawzajem w Domach Studenta, prywatnych mieszkaniach. Najrozmaitsze kłopoty — rodzinne, bytowe i inne, o których nieraz nie chciano mówić, lub na które po prostu nie zwracano uwagi, stoją nie tylko przed tym, którego dotyczy, lecz przed całym kolektywem.

Po co jednak przypominać te znane każdemu z własnej praktyki sprawy? Otóż nie wszystkie organizacje na wyższych uczelniach potrafiły z tej sytuacji wyciągnąć odpowiednie wnioski. Nie zawsze i nie wszędzie rozumiano, że okres przygotowań do sesji i sama sesja muszą być okresem wzmocnionej pracy politycznej — wychowawczej. Praca w tym czasie pozwala lepiej poznać człowieka, łatwiej do niego dotrzeć, silniej na niego oddziaływać.

Wszelchna troska o studenta — nie tylko o skrypt i nie tylko o naukę, ale o jego kłopoty bytowe i rodzinne, o jego wątpliwości i trudności natury światopoglądowej, ideologicznej czy politycznej — oto co musi stać na czele zadań organizacji zetempowskiej.

Praca przedsesyjna, o której czytaliśmy na wstępie, była może wystarczającą w ubiegłym roku. Dziś już na pewno nie. Oczywiście — pomoc w nauce to rzecz ważna, bo przecież nauka — to sprawa dla każdego studenta najistotniejsza. Ważne są „Błyskawice” piętnujące bumelantów i chwalejące przodowników, ważne bilety do kina zapewniające rozrywkę w okresie ciężkich trudów, ważne właściwe harmonogramy zdawanych egzaminów.

Jednak te wszystkie ważne środki przygotowania sesji muszą być



Już za kilka dni pierwszy egzamin. Praca przeniosła się z uczelni do pokoiów w domach studenckich.

W zasadzie materiał już przygotowany, jeszcze trzeba go szczegółowo powtórzyć, rozwiązać wspólnie ostatnie wątpliwości.

Egzamin na pewno pójdzie dobrze, a potem — pójdziemy do teatru na nową sztukę Lutowskiego.

przejęte treści polityczną, muszą prowadzić nie tylko do dobrze zdanych egzaminów, lecz i do politycznego i ideologicznego wychowania człowieka.

*

To właśnie było to ogniwo, którego poszukiwała grupa aktywów, radząca nad obecną sesją. Gdyby w ten sposób pracowano w ubiegłym roku, Zosia nie miałaby egza-

minów poprawkowych, a Jurek dostałby stypendium premiowe.

Jednak po naradzie nie wstawiono do planu punktu — „Praca polityczna — wychowawcza”. — Bo grupa doszła do wniosku i chyba słusznego wniosku, że nie chodzi o jeszcze jeden punkt w planie, a o to, by wszyscy aktywiści i wszyscy zetempowcy właściwie zrozumieli i realizowali swoje zadania.

ST. CHELSTOWSKI

pracować — ZNACZY ROSNAĆ

(Dokończenie ze str. 1-ej)

organizacji, lecz waham się, bo nie jestem jeszcze materialistą.

I we trójkę z Czerniakowskim i z Różalskim doszli do wniosku, że jeśli ktoś jest wierzący, to fakt ten wcale nie powinien przeszkadzać mu w udziale w życiu społecznym i politycznym. Budujemy przecież nową ojczyznę dla całego narodu i w budowie tej winni wziąć udział wszyscy uczeni.

Jednak jeśli ktoś chce się uważać za materialistę, nie może posiadać idealistycznych pozostałości. A życie na każdym kroku uczy naukowego światopoglądu i kto wie, czy za kilka lat lub miesięcy Józek nie pozbędzie się wątpliwości. Raczej wszystko za tym przemawia, że tak się stanie. No, a wniosek praktyczny — nic nie stoi na przeszkodzie, aby Józek wstąpił do ZMP i stał się dobrym członkiem organizacji.

Tadek Wasilewski, Ania Figurkowska i inni takich wątpliwości nie mieli.

Cóż np. takiego Tadka, (którego ojciec — przedwojenny fernal — dopiero po wojnie dostał ziemię z reformy) czy Anię, którzy widzą dobro jakie państwo i nowy ustrój im dają, co ich odgradzało od organizacji? Dlaczego nie wstąpili wcześniej?

Bo koła zetempowskie, z jakimi dotychczas się stykali, nie potrafiły ich przyciągnąć do siebie, nie umiały trafić do takich jak Tadek czy Ania.

Jeszcze wiele organizacji zetempowskich nie potrafi po ludzku ująć ludzi — całe piękno naszego życia owija w formalistyczno-frazesową warstwą słów.



Edek Czerniakowski nierzadko, gdy zebrali się w świetlicy tłumaczyć politykę Partii. Wiele takich rozmów odbyli po IX Plenum. Od lewej: Tadek Wasilewski, Ania Figurkowska, Edek Czerniakowski, Józek Wilk i Janek Szulgo.

Aktyw pierwszego roku transportu potrafił stworzyć jasną, prostą atmosferę i dlatego nie dziwnym się, że drzwi do pokoju 68, gdzie mieszkają aktywiści koła, rzadko się zamykają.

Ania Figurkowska skończyła 17 lat. Gdy się ma 17 lat marzy się o wiel-

List do Redakcji!

Tu potrzebna jest po

O tym, by dostać się na Politechnikę marzyłem od 7 lat. Gdy złożyłem swoje papiery do Powiatowej Komisji Rekrutacyjnej — nie mogłem już o niczym innym myśleć, wydawało mi się, że sprawa przyjęcia, to sprawa życia i śmierci, że poza Politechniką nie ma dla mnie żadnej przyszłości. Może to co piszę brzmi melodramatycznie — ale tak było naprawdę. Politechnika zajmowała moje myśli we śnie i na jawie. W chwili, gdy zobaczyłem swoje nazwisko na liście przyjętych, uważałem się na najszcześniejszego człowieka na świecie. Jednak od tego momentu zaczęły się kłopoty, których zupełnie nie przewidziewałem.

Świadectwo dojrzałości mam bez ocen dostatecznych. Egzamin wstępny, jak mi się wydaje, zdałem dobrze.

Na Politechnice po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z oceną niedostateczną, z dwójką! W półrocznym obale mechaniki A przecież z matematyki i fizyki w szkole średniej miałem czwórki lub piątki.

Co prawda w pierwszych miesiącach uczyłem się mało, gdyż mieszkaniem prywatnie, a w mieszkaniu tym odbywały się ciągle „prywatki” i pijatyki tak, że mogłem przychodzić do domu dopiero późno wieczorem. Od stycznia mieszkam w Domu Studenckim i mam dobre warunki do nauki. Stoi jednak ciągle przede mną myśl, że mogę zostać usunięty z uczelni, tym bardziej, że asystenci i profesorowie ciągle o tym mówią.

Czy ja jestem tumanem, który nie może skończyć Politechniki? Na to pytanie nie potrafię sobie odpowiedzieć.

Wiem jedno, — że jestem gotów uczyć się wytrwale, nie żał mi jest poświęcić na jedno, nawet drobne,

zagadnienie paru dni, by dział od czego zacząć, mógł to zagadnienie rozwiązać, nauka staje się dla mnie źródłem przyjemności.

Nie wiem jednak, czy warto, czynić bo w swych kłopotach jestem odosobniony — wielu takich, którzy mówią po co będę morderował, kiedy i tak nie dam rady.

Czekam na Waszą radę.

KSAWERY JANISZEWSKI
Politechnika Warszawska
wydział elektryczny

Od redakcji: Z listu kolegi Janiszewskiego narzuca się jedno nieodparte pytanie. Gdzie była i co robiła organizacja zetempowska w ciągu całego semestru? Przecież obok Was, Towarzysze, jest człowiek, kolega, student, który ma trudności w nauce, który obawia się że utraci rzecz dla niego niezmiernie cenną — możliwość dalszego studiowania na Politechnice. Nie brak mu jak widać zapalu, czy chęci do nauki, zapewne nie brak mu i zdolności (otrzymał dobre świadectwo maturalne), a więc na przeszkodzie stanęły mu przede wszystkim nieumiejętność studiowania na wyższej uczelni i pewne braki ze szkoły średniej.

Waszym zadaniem jest pomóc mu, pokazać mu „od czego ma zacząć”, przełamać jego obecne nastawienie.

Takie zadanie m. in. postawiło przed Wami IX Plenum KC PZPR, mówiąc o konieczności wszechstronnej troski o człowieka, a więc nie tylko o jego sprawy bytowe, lecz również troski o jego trudności w nauce, obecnie bez wątpienia ważniejsze dla kol. Janiszewskiego, niż jakiegokolwiek inna sprawa.

Dla Was zaś, kol. Janiszewski, droga jest tylko jedna — zwrócić się do organizacji ZMP-owskiej i z jej pomocą wziąć się do nauki, od zaraz, od dzisiaj, aby stanąć do sesji możliwie dobrze przygotowanym.

Wprowadziłem metodę ZANDAROWEJ

Gdy na początku praktyki dyplomowej zgłosiłem w Zarządzie Zakładowym ZMP swoją chęć pracy zetempowskiej — powierzono mi (w porozumieniu z Radą Zakładową) wprowadzanie na zakładzie nowych metod pracy, szczególnie metod Zandarowej. Należy zaznaczyć, że Fabryka Maszyn Papierniczych w Cieplicach, gdzie odbywam praktykę, jest jedyną tego rodzaju fabryką na wszystkie kraje demokracji ludowej. Podnieść na wyższy poziom pracę takiej fabryki — to zadanie naprawdę ważne. Przyjąłem je jako swój „chrzest bojowy” na polu pracy społeczno-inżynierskiej.

Podczas zapoznawania się z całokształtem pracy fabryki (co wcale nie było łatwe) dowiedziałem się, że poprzednio próbowano tu już wprowadzać nowe metody, lecz pozostały po nich tylko hasła wiszące na suwnicach. Ale czy mogłem się tym zrazić?

Zacząłem od rozmów z młodymi robotnikami, którzy stanowią 70% załogi. Po dokładnym zapoznaniu się z nową metodą, niektórzy z nich zgodzili się wprowadzić ją na swoich obrabiarkach, gdyż widzieli w tym i swoje i społeczne korzyści (metoda Zandarowej polega na tym, że obsługę oddaje następnej zmianie maszyn w ruchu, co zwiększa wydajność, a poza tym zmiany wzajemnie podciągają się, gdyż pracują na jedną kartę roboczą).

Aby uwidocznić, które maszyny pracują nową metodą i aby metodę tę rozpropagować — zaprojektowałem specjalne tabliczki na wysokości podstawkach, ze znacznikiem zetempowskim, nazwiskiem tokarza i napisem „Zetempowcy pracują metodą Zandarowej”. Zachęciło to innych młodych robotników, którzy zgłaszali się do mnie z zapytaniem czy oni też mogliby pracować tą metodą.

Na dobre wyniki nie trzeba było długo czekać. Gdy na części obrabiarek stały już czerwone tabliczki, napisałem o tym do wrocławskiej Gazety Robotniczej, a po opublikowaniu artykułu udało mi się do końca praktyki wprowadzić metodę Zandarowej na wszystkich nadających się do tego maszynach.

Mogłoby stąd wynikać, że wszystko szło jak najlepiej. Ale tak nie było. Ciągłe napotykałem na trudności, przed którymi często stawałem bezradny.

Pierwszą trudnością był brak zainteresowania nowymi metodami ze strony części pionu inżyniersko-technicznego. Gdy (dość często) zwracałem się do starszych majstrów i inżynierów o pomoc — nie walcili głowami na znak zgody, ale na tym kiwaniu najczęściej się kończyło. Najwyżej powiedzieli mi czy taka a taka maszyna nadaje się do wprowadzenia nowej metody. A np. inżynier Lisiak, który ładnie pisał w prasie o realizacji wytycznych IX Plenum — nie tylko nie udzielił mi pomocy, ale nawet nie znalazł czasu na rzetelne porozmawianie ze mną o nowych metodach. Dopiero z pomocą przyszli mi najmłodszy brzygadzista i majstrowie, jak kol. Judycki i Wielgorz.

Drugą przeszkodą był brak wykorzystania pełnych możliwości poszczególnych maszyn. Nieraz zdarzało się, że tokarki stały po parę godzin nieczynne. I w takiej sytuacji majstrowie i robotnicy nieraz powiadali: „Po co tu wprowadzać nowe metody, kiedy i bez nich maszyny pracy nie mają”. A gdy pytałem o przyczynę — jedni na drugich spychali odpowiedzialność.

Po długich dociekaniach wpadłem na trop tych zastojów: powodem było to, że robotnik pracujący indywidualnie brał jednorazowo z rozdzielni zadania na kilkadziesiąt a nawet kilkaset godzin roboczych, po 8 godzinach chował swoją kartę roboczą — no i często dla jego kolegi z drugiej zmiany brakło roboty. W ten sposób było „zamrożonych” około 20 proc. robót.

Łatwo było wykazać, że przy metodzie Zandarowej ten stan rzeczy gruntownie się poprawi (zmiany po wykonaniu jednej roboty przystępują do drugiej). Rada Zakładowa przyznała mi rację i zaczęła wtedy pomagać. Praca ruszyła lepiej.

Szkoda tylko, że niektórzy nasi starsi — a nawet młodszy — inżynierowie mało interesują się nowymi metodami i w ogóle tym wszystkim, co nie jest im bezpośrednio zlecone. Przecież młody inżynier na zakładzie powinien być wybitnie aktywny, a nie stawać się „fachowcem” oderwanym od pracy politycznej. Do takiej pracy trzeba go również przygotować. Wnioski powinni stąd wyciągnąć zarówno nasi profesorowie i asystenci, jak i organizacje zetempowskie na uczelniach.

JAN GRONOWICZ
abs. SI — Szczecin



BULGARIA

Druga książka A. Zapotockiego w przekładzie bułgarskim

Wydawnictwo „Narodna Kulturna” w Sofii włączyło do swych planów wydawniczych powieść znanego pisarza czeskiego Antoniego Zapotockiego pod tytułem „Ruda zare nad Kladnem” („Czerwona Zorza nad Kładnem”), którą przetłumaczył Todorow Znepolski, lektor języka bułgarskiego w Pradze. W 1950 roku ukazała się w Bułgarii tegoż autora powieść pod tytułem „Vstanou novi bojovnici” („Przyjdą nowi wojownicy”). W zgrabnej adaptacji scenicznej twór ten był grany z dużym powodzeniem na scenach bułgarskich.

ZSRR

Oratorium poświęcone Juliuszowi Fuczikowi

Młody radziecki kompozytor Mikołaj Karetnikow napisał duże oratorium na orkiestrę, chór i solistów, poświęcone pamięci płomien-

nego rewolucjonisty — Juliusza Fuczika. W licznych ariach, duetach, recitativach i chórach, w które obfituje oratorium, kompozytor składa hołd wielkiemu bojownikowi, uczestnicząc tym sposobem w uroczystym obchodzie Roku Fuczika w Czechosłowacji i całym postępowym świecie. Oratorium Koretnikowa dzięki swym wysokim zaletom artystycznym wzbudziło w Moskwie duże zainteresowanie.

Monografie o mistrzach radzieckiego plakatu

Twórczość plakatu jest w Związku Radzieckim otoczona troskliwą opieką. Wyrazem tego mogą być monograficzne wydawnictwa poświęcone czołowym twórcom plakatu radzieckiego: W. Iwanowowi, L. Golowanowowi, A. Kokarżkinowowi i W. Koreckiemu. Wydawnictwa te, popularyzując twórczość plakatową jako ważną gałąź sztuki oddziaływającej na masowego widza, stoją na wysokim poziomie arty-

ści. Zawierają one świetne, duże reprodukcje plakatów i rysy twórczości poszczególnych artystów. W Polsce popularne są plakaty Wiktora Iwanowa, który należy do najbardziej wszechstronnych artystów radzieckich w podejmowanej tematyce plakatów.

W Szczecinie okazało się, że jeszcze jej nie załatwiono stypendium i mieszkania w Osiedlu Studenckim. Ani wyczerpały się pieniądze, chciała wracać do Lublina.

W Szczecinie okazało się, że jeszcze jej nie załatwiono stypendium i mieszkania w Osiedlu Studenckim. Ani wyczerpały się pieniądze, chciała wracać do Lublina.

FRANCJA

Naukowe wydanie „Wojny domowej we Francji” Karola Marksa

Książkę tę wydało wydawnictwo „Editions Sociales” z okazji 82 rocznicy Komuny Paryskiej i 70 rocznicy śmierci Karola Marksa. Wartość naukowa tej publikacji zasługuje na specjalną uwagę, bowiem poza klasycznym tekstem dzieła Marksa wydawcy zamieścili również nigdzie nie drukowane notaty i szkice, wyjątki z prasy z okresu Komuny Paryskiej zbierane przez Marksa jako materiał do pracy, wreszcie plany pierwszej i drugiej redakcji dzieła — słowem cały warsztat pisarski i naukowy. Dzieło poprzęcone jest znanymi wstępem Engelsa z 1891 roku oraz zapatrzone obszernymi objaśnieniami. Zawiera również ciekawe dobrane ilustracje oraz chronologię wydarzeń Komuny Paryskiej. Postępowa krytyka francuska podkreśla szczególne znaczenie tej książki w dziejach Francji.

*
Ala Strugówna jak bomba wpadła do pokoju 68 — ta zawsze taka.

— Dawajcie drugą część „Września”. Trzeba przeczytać i wynotać sobie uwagi. Dyskusja na grupie na pewno będzie ciekawa.

Bogdan Różalski zdenerwował się. — Ala zawsze musi narobić halasu, gdzie tylko się zjawi.

Bogdan pisze list do redakcji. Zajrzyjmy mu przez ramię — „Figurkowska, Wasilewski, Jabłoński, Krasowski, Zaniewicz, Bartosiewicz i Józef Wilk z pierwszego roku transportu szcześcińskiego WSE zostali przyjęci do organizacji”.

TADEUSZ JASZCZYK

W naszym ZESPOLE

O pełny sukces

Mamy za sobą pewien okres pracy kulturalnej. Nabraliśmy doświadczenia, jesteśmy bogatsi o nowe i niewątpliwe sukcesy, jakimi były chociażby ostatnie przeglądy grup i zespołów. Wypada jak zwykle zastanowić się i w pewnym sensie podsumować te osiągnięcia, wyznaczyć kierunki dalszej pracy.

W tym celu musimy cofnąć się nieco myślą wstecz. Nie było eliminacji, przeglądu, czy nawet występu, aby ostatecznie podsumować nie stwierdzono — dobrze, ale... i tych „ale” było zawsze wiele. O nich i w tym wypadku należy pomówić.

Zacznijmy jednak od sukcesów i oddajmy głos kilku cyfrom i to tylko z jednego środowiska — z Krakowa.

W roku ubiegłym przystąpiły do eliminacji na WSE 3 grupy — obecnie 63, na UJ — 20, obecnie 63. Z Politechniki Krakowskiej w eliminacjach wzięło w r.b. udział 74 proc. studentów... wystarczy. Już te cyfry mówią za siebie. Ale cyfry to jeszcze mało, o tym, że praca kulturalna wciąga w swą orbitę coraz więcej ludzi, mówią jeszcze fakty.

Chociażby spontaniczne powstawanie nowych zespołów dramatycznych, chóralskich, tanecznych, dużych zespołów pieśni i tańca o programie na wysokim poziomie artystycznym, oraz niespotykanych dotąd zespołów satyrycznych. Jednym słowem można powiedzieć, że rozśpiewaliśmy się i roztańczyli... ale — po co to wszystko?

Wydaje się, że postawienie tego niby paradoksalnego pytania jest konieczne. I że jest jeżeli podjąć jakiegokolwiek zadanie, wcześniej nie staraliśmy się go spreycyzować właśnie od tej strony — po co? Czemu ma służyć?

I właśnie w naszym wypadku to takie jasne nie jest. Chociażby sam fakt, że wielu adeptów kultury studenckiej zwykło mówić skromnie — „...ja to tak, żeby trochę pospiewać... wreszcie pojedzie się na festiwal!”... albo innym tonem — „...czuję, że jest coś we mnie z aktora — od małego mi to mówiono...”. Inni wolą nie mówić o tym głośno i wiadomo, że przyczyna była tu ona albo on. Wiadomo. Różne są drogi do terc. Możliwe, że to jest jedna z tych lepszych, przez piosenki, uśmiech... nie wnikaćmy w to. O wiele bardziej na uwagę zasługują dwie pierwsze wypowiedzi.

Jak przysłowiowe „szydło z worka” wylała z nich sprawy, które muszą zaniepokić i nad którymi warto się głębiej zastanowić.

Eliminacja, festiwal, gdzieś tam „na dnie serca” drzemie nadzieja, że może nagle jakiś niebyswały sukces, wprost bomba i... wyjazd za granicę. Olsniewać, czarować, zbierać laury, brawa, dyplomy, re-prezentować... — oto co jeszcze zbyt często jest motorem poczynania, zwiariowanego tempa pracy w ostatnich chwilach, „urywania” się z wykładów i tym podobnego „stawiania na głowie” naszych zespołów. Jest to źródłem licznych antagonizmów między zespołami, nie mającymi nic wspólnego ze szlachetną i kulturalną rywalizacją.

Drogo okupowane są takie estradowe sukcesy. Pozostaje po nich przelotny smak zwycięstwa, tani efekt nadstuszkowanej fantazji, zaprawiony żółcią zawiści — „że tamci przecież gorzej, a dostali akordeon, a my tylko dyplom”. Czas zmywa ślady sukcesów. Nie zostaje nic oprócz karuzeli światła, wspomnienia braw, dyplomu w ramce, wyciętych notatek z prasy...

To nie fantazja, ani szukanie dzicy w całym. Niestety, zjawisko pracy zespołu tylko na efekt występuje zbyt często, by można przymknąć na nie oczy. W nim również kryje się tajemnica „spontanicznego”, pozbawionego realnych często możliwości powstawania olbrzymich, olśniewających wystaw zespołów pieśni i tańca, a spychania na ostatnie miejsce małych form pracy kulturalnej.

Częściowo łączy się z tym sprawa druga, którą również zdradziła nam cytowana wypowiedź. Roi się w naszych zespołach dramatycznych od niewzrostłych „artystów”, którzy jak sami, wydają się, uważają — że trafili, po prostu przypadkowo znaleźli się np. na uczelni technicznej.

Dla nich scena studencka zmienia się w teatr konkurencyjny dla teatrów państwowych. Duch artystystwa w najgorszym gatunku pokutuje jeszcze za kulismy naszych przedstawień. Pojawiają się „gwiazdy” i „gwiazdki” — ludzie, o których mówi się po cichu, że ni z tego ni z owego dostali tzw. „syfona”. I znowu miraż sukcesów

nie poparte konkretną pracą wychowawczą.

Nie bójmy się tego słowa, mimo że nadużywano go już aż do znudzenia przy wszystkich okolicznościowych referatach i sprawozdaniach. Chodzi o jego właściwą treść, o rzetelną pracę nie tylko nad repertuarem — ale poprzez niego nad kształceniem własnego, dobrego smaku estetycznego i zainteresowań kulturalnych; o ambitne a zarazem zdrowe dążenia pokazania wszystkim swoim możliwości, nie zapominając jednak, że kiedyś ma się być inżynierem, zootechnikiem czy lekarzem o wysokim poziomie kulturalnym — a nie artystą dramatycznym lub chóralnym.

Co można powiedzieć o zespole dramatycznym, lub jakimkolwiek innym, w którym chronicznie brak czasu na ciekawą prelekcję o muzyce, który śpiewając lub wystawiając utwory dramatyczne nie zastanawia się nad ich rodowodem, nie ma czasu na ciekawą dyskusję o granej obecnie w teatrze sztuce lub filmie muzycznym itp.

Jedno jest pewne, że nie spełnia on do końca swego pierwszego zadania, nie rozszerza „naszych zainteresowań kulturalnych”. A przecież to jest w tej chwili najważniejsze.

Umieć patrzeć na obraz, słuchać muzyki, czytać wiersze, to nie tylko rozumieć, znać się, ale również przeżywać głębokie treści naszego życia, zawarte w artystycznych uogólnieniach. Przemawiają one o wiele silniej, o wiele sugestijniej — przez piękno.

Tego musimy się uczyć w zespołach kulturalnych, to jest to, co nazywać powinniśmy pracą wychowawczą. I nigdy chyba nie było większych okazji aby tę pracę prowadzić. Na tym odcinku musimy postawić sobie największe wymagania. Zwiększą one również atrakcyjność a zarazem zainteresowanie pracą naszych zespołów.

Dobrze nam w kolektywach artystycznych, często ciepło i serdecznie. To nie tylko służba w pracy społecznej, występy dla świata, pracy, ekipy na wieś... to również głębokie przeżycie. I że byłoby, gdyby kiedyś wracając myślą do czasów studenckich, nie można było sobie powiedzieć, że tam nauczyłem się poznawać piękno świata i życia, odkrywać je w wierszach poetów, muzyce i obrazie. Człowiek, który nie potrafi głęboko przeżyć muzyki Chopina czy Prokofiewa, wiersza Gałczyńskiego lub Tuwima, to człowiek niepełny. Nie wolno, aby tacy niepełni ludzie opuszczali mury naszych uczelni. Ale tego trzeba się nauczyć.

I dlatego mamy pełne prawo wymagać od kierownika zespołu, aby jego rola nie ograniczała się jedynie do rozpisywania nut i dyrygowania. Być kierownikiem zespołu to znaczy być jego przyjacielem-wychowawcą, przewodnikiem kulturalnym, pierwszym głosem w dyskusji o problemach, które powinny interesować nie tylko historyków sztuki — być nauczycielem kultury.

„Niedźwiedzia przysługę” oddają zespołom kierownicy i organizatorzy PKM-u, którym wymykają się z pola widzenia właśnie te najistotniejsze sprawy kolektywów kulturalnych, przysłonięte różową mgiełką marzenia o przyszłym sukcesie estradowym.

Niestety tak już jest, że obydwu stron pracy w zespole (nad rozwojem kulturalnym i repertuarem) nie można równocześnie pokazać na scenie. Większa część tej pracy i to ta najważniejsza zostaje... „w kuchni”.

Tylko bystry obserwator zauważył coś więcej poza barwnym korowodem tanecznych par lub wyreżyserowanym gestem studenta-aktora. A to „coś” właśnie szczególnie powinien brać pod uwagę jury konkursowe oceniające dorobek naszych zespołów artystycznych, dające wytyczne do dalszej pracy.

Próby, aby naszej pracy kulturalnej nadać właściwą treść, są czynione w wielu zespołach i dają wyniki. Sprawa ta jednak nie stanęła jeszcze w wielu zespołach jako najważniejsza. Zbyt często odsuwamy ją na plan dalszy... bo zbliżają się eliminacje.

Przed kolektywami zespołów, przed organizacją zetepomowską i zetepowską staje poważne zadanie — przygotowanie się do olbrzymiej manifestacji i generalnego przeglądu jaki odbędzie się z okazji X-lecia Polski Ludowej w roku 1954. I nie ulega wątpliwości, że zapytamy nas tam — z czym przychodzimy? Po co włożyliśmy tyle wysiłku, co nam to dało? I trzeba będzie uczciwie zdać sprawozdanie — właśnie z tzw. pracy wychowawczej.

DOWÓDCA

„KOTOWSKI” Reżyseria: A. Fajcner. Zdjęcia: M. Gindin. Muzyka: S. Prokofiew. Prod.: Wytwórnia Filmów Fabularnych w Alma-Ata, 1942 r.



Scena z filmu „Kotowski”. Charitonow i Kotowski przed bitwą.

Leato, Aleja wysadzona po obu stronach wysokimi brzoziakami jedzie bryczką Grzegorz Kotowski — agronom z majątku besarabskiego obszarnika, księcia Karzkezena. Obok, w rowie, nad ciałem skatowanego na śmierć chłopca, który „odważył się orać własną ziemię” rozpaczła kobieta. Kotowski zatrzymuje konie. Na jego oczach rozgrywa się jeszcze jeden dramat, tak typowy dla stosunków społecznych w Besarabii, gdzie feudalizm i ucisk carski przyniosły ze sobą bezlitosny wyzysk chłopskiej ludności. Kotowski zaczyna ko-

nie, pędzi na zamek i tam, w sali, w której odbywa się celebrowane z namaszczeniem przyjęcie, rzuca księciu słowa protestu i czynnie reaguje na jego okrucieństwa, ane canie się nad chłopstwem. Tym: krótkimi, dynamicznymi scenami rozpoczyna się film o jednym z wybitnych dowódców radzieckich z okresu wojny domowej — Grzegorzu Kotowskim. Droga Kotowskiego do szeregów Armii Czerwonej i dowództwa nad oddziałami rewolucyjnego wojska jest naczelnym tematem tego wręcz pasjonującego filmu.

Bohater filmu — jakim go pozna-

jemy w początkowych scenach — to człowiek, który wyrósłszy z ludu, silnie odczuwa jego niedolę, przeżywa ją i reaguje na nią. Ale ta łącząca się z anarchicznym buntem reakcja jest odruchem zrozpaczonej społecznością warunkami życia jednostki, która obdarzona silniejszą niż inni indywidualnością, uniczytawia i stanowczością, sama próbuje wymierzyć sprawiedliwość niemięciom. Kotowski nie rozumie mechanizmu ustroju carskiej Rosji, w którym prawo i opieka państwa były po stronie wyzyskiwaczy. Przy pełnej aprobacie solidaryzującego się z nim chłopstwa Kotowski nie stara się go w przemysłowy sposób zorganizować i przygotować na odpowiedni moment. Teorii rewolucji proletariackiej nie znał, nie słyszał nic o działalności partii, jej celach i zadaniach, a kiedy nawet o niej się dowiedział, była jeszcze tak niska, że nadal nie przestaje być mściwym, anarchicznym buntownikiem. Działalność indywidualną, bez planu i ideowych perspektyw na przyszłość. Od brawurowego czynu, po którym zostają zniszczone dworu, do schwytania go przez władze ścigające Kotowskiego jako pospolitego przestępcę, od ucieczki z więzienia lub zesłania znowu do żywiołowego buntu — oto losy bohatera z pierwszej części filmu — pełnej, ciekawej akcji, żywyci i wręcz zaskakujących widza teni-pem sytuacji i obrazów.

Dotąd Kotowski jest dla nas jedynie nieustraszoną, zasługującym na podziw buntownikiem.

Proces zachodzący w świadomości tej nieokielzanej natury pod

wpływem znajomości z komunistą Charitonowem i rewolucji, która uwolniła Kotowskiego od śmierci, sprawia, że postać jego przestaje być jednowymiarowa, taka, jaką poznaliśmy na początku. W psychice bohatera rozpoczyna się walka, ścieranie się dawnych i silnie jeszcze zakorzenionych indywidualistycznych, anarchicznych nawyków z metodą, sensem i celami działalności partii.

W ogniu rewolucji i walki z pruskimi interwentami przy opiece i pomocy partii, którą w filmie reprezentuje postać komisarza Charitonowa — wzruszająco i bardzo prawdziwie zagrana przez Wainina — Kotowski przechodzi wspaniałą szkołę dowódcy. W tej trudnej, ścisłej i logicznej szkole mogły dopiero zabłysnąć i rozwinąć się wszystkie prawdziwe zdolności tego „najmężniejszego wśród skromnych i najskromniejszego wśród mężnych” dowódcę, jak o Kotowskim wyraził się Stalin.

Kotowski w wykonaniu Mordwinowa jest własnie męznym, pełnym wewnętrznej pasji „mścicielem”, a później świadomym, zdyscyplinowanym dowódcą Armii Czerwonej, pozostającym przez cały czas dziecinnie niemal skromnym i pogodnym. Jest wzruszający w swojej prostocie i umiłowaniu sprawiedliwości i wolności. Nie ma w sobie nic z demotyzmu i niesamowitości — o co nie trudno było w tak bujnej w wydarzenia akcji. W przełom, jaki dokonał się w świadomości bohatera widz wierzy i dlatego może właśnie postać ta w filmie jest tak bardzo ludzka, wzrusza nas i zapada na długo w pamięć. Film w ogóle odznacza się dobrą grą całego zespołu aktorów. Nawet role epizodyczne obsadzone zostały aktorami tej miary co Borys Andriejew. To zagęszczenie „nazwisk” spowodowane było wojennymi warunkami w jakich film powstał (1942 r.), kiedy czynna była poza linią frontu jedyna wytwórnia filmowa fabularnych w Alma-Ata, mogąca skupić wszystkie najlepsze sily.

Współgrająca z akcją i dobrze oddająca rewolucyjny romantyzm filmu jest muzyka Sergiusza Prokofiewa. Szkoda tylko, że kolektywowi opracowującemu film nie sprostał w pełni autor scenariusza (trochę winy ponosi tu reżyser). Zupelnie bowiem bez potrzeby dążył do nieprawdopodobnej niemal sensacji, np. w scenach z Kotowskim zrzucającym z siebie, przebranie popa i rzucając pewną nawiąznością ucieczkę jego z sąsiadów. To lekkie odrealnienie jest w filmie ustępstwem na rzecz wyznosi akcji i chęci pokazania bohatera w dużej ilości perypetii. A akcja rzeczywiste jest tak żywa i zajmująca, że na widowni wzbudza reakcje widzów — podobną chyba do tej z jaką oglądało się „Śmiałych ludzi”.

MARKUS

JERZY SOKOŁOWSKI

Na scenie I W ŻYCIU

(Na marginesie wrocławskiej dyskusji nad sztuką Arbuzowa — „Tania”).

Siedząc w wygodnym fotelu mrocznej sali teatru, ze wzrokiem utkwnionym w w oświetlony prostokąt sceny, wsłuchując się w szmery i brawa widowni, podpatrując rozgorączkowane twarze widzów, trudno nie zadać sobie stereotypowego pytania: w czym tkwi urzekająca siła niektórych sztuk, zdolna nie tylko żywić zainteresowań widza, ale także wzruszyć go, wzbudzić w nim litość czy nienawiść, przynieść mu ulgę? Proste pytanie, prosta na nie odpowiedź. Prawdziwe, głębokie przeżycie może tylko dać sztuka, w której widz znajdzie bliskie sobie, życiowe problemy, sztuką, której głównym bohaterem jest człowiek i jego życie, barwne, ciekawe, skomplikowane. Jednym z głównych celów nowej, socjalistycznej sztuki w ogóle jest nie tylko przedstawianie życia, ale współtworzenie go, zmienianie na lepsze. Jeżeli w teatrze widz znajdzie odbicie własnych nurtujących go problemów i jeżeli teatr pomoże mu do wyciągnięcia właściwych wniosków na przyszłość — będzie to zwycięstwo, jedno z wielu zwycięstw nowej sztuki.

Tego typu refleksje musiały się niewątpliwie nasunąć wielu widzom wrocławskiego przedstawienia sztuki Arbuzowa „Tania” i uczestnikom dyskusji nad tą sztuką, zorganizowanej przez Komisję Okręgową Zrzeszenia Studentów Polskich we Wrocławiu i redakcję POPROSTU.

Jak już pisaliśmy (POPROSTU nr. 52 z ub. roku) polska prapremiera sztuki radzieckiego pisarza A. Arbuzowa — „Tania” wzbudziła w środowisku studenckim Wrocławia żywe zainteresowanie i gorące dyskusje. Dawno niespotykane na naszych scenach problemy życia osobistego młodych ludzi w nowych warunkach społecznych, problemy niedoceniane, uważane niekiedy za mało istotne w naszym życiu poruszyły do głębi młodzież wrocławską. Duża to zasługa sztuki oddźwięnie i ostro ukazującej drażliwe zagadnienia, duża to również zasługa teatru (reżysera Szymona Szurmieja i zespołu aktorskiego) umiającego sugestywnie ukazać na scenie nadrzedną ideę utworu. Różnorodne polemiki i spory prowadzone od wielu tygodni w domach studenckich i na uczelniach znalazły swe odbicie w ogólnowrocławskiej dyskusji nad „Tanią”, w której obok studenckiej publiczności wzięli udział: reżyser, aktorzy i krytycy teatralni.

Prawie z każdej wypowiedzi, z każdej uwagi, które padały pod adresem autora sztuki, reżysera czy wykonawców, przebiegało duże przecięcie się losem bohaterów sztuki, duża skłonność do porównywania ich życia z własnymi przeżyciami. „Myślałem jak Tania w pierwszej części sztuki; teraz, po obejrzeniu przedstawienia, zrozumiałem sens szczęścia osobistego”. „Sztuka wskazała mi jak powinni postępować młodzi ludzie, rozpoczynający swój życiowy start”. „W małżeństwie uczucie nie wystarczy; muszą istnieć trwałe podstawy, jak wspólne zainteresowania, idee, wspólne cele. Dlatego German szlusznie postąpił. I chociaż płakałam nad losem Tani — zrozumiałam go”. Oto fragmenty niektórych wypowiedzi, proste, szczere, czynione na gorąco,

pod świeżym wrażeniem oglądane-go przedstawienia. Sztuka Arbuzowa na przykładzie Tani poddaje pod dyskusję ideał „małego szczęścia”, polegającego na zamknięciu się w czterech ścianach zacisznego pokoju, odizolowaniu się od życia i codziennych spraw, którymi żyje całe społeczeństwo. Tak pragnie żyć Tania. Podświadomie przeciwstawia się jej German, który dusi się w atmosferze życia „we dwoje”, bez jakiegokolwiek perspektywy. W przedstawieniu ten właśnie problem został szczególnie mocno wypunktowany. Wymowa przedstawienia jest jasna: nie można żyć szczęśliwie w oderwaniu od życia społeczeństwa. Przykład głównej bohaterki sztuki, Tani, wykazuje całkowite fiasco zbliżonego do drobnonieszczęśliwego ideału szczęścia w naszym nowym życiu.

Sprawa osiągnięcia osobistego szczęścia tak mocno i sugestywnie zarysowana i w sztuce i w przedstawieniu stała się centralnym punktem dyskusji, do którego w ten czy inny sposób nawiązywały wszystkie bez mała wypowiedzi.

Wiele głosów w dyskusji poświęcono sprawie stosunku Tani do jej męża, Germana. Autor pokazuje jak Tania, która rzuciła Instytut Medyczny, bo chce żyć tylko dla ukochanego i z ukochanym, sama powoduje rozdzwiek w swoim życiu. Rozwijając się ciągle, pełen śmiałych planów i zapалу do pracy German nie może z jednakową siłą kochać pozostającą wyraźnie w tyle Tani. Trafnie odczytany przez widzów konflikt German — Tania przynosił wiele wypowiedzi i uwag dotyczących roli kobiety w małżeństwie, jej stosunku do życia. Bardzo wielu zabierających głos twierdziło, że zdobyć zawodu przez kobietę, ciągle kształcenie się i twórczą, otwartą pracę czynią ją nie tylko pełnowartościową jednostką w społeczeństwie, ale gwarantują jej znalezienie pełni szczęścia również w życiu prywatnym, osobistym.

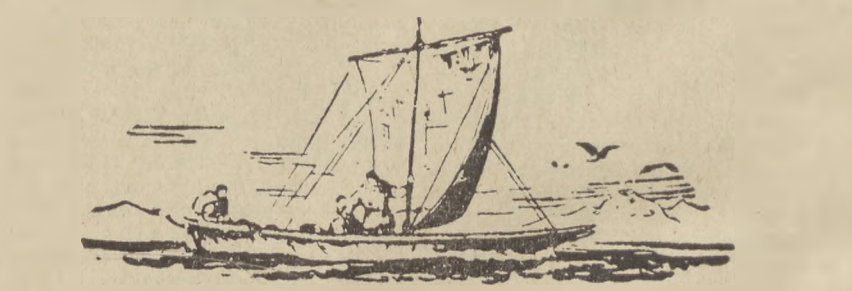
Na marginesie głównego problemu mówiono o wielu innych istotnych sprawach. Znalazła się wśród nich sprawa pomocy jednostce przez kolektywy życiowych ludzi (takiej opieki doznaje Tania na Syberii), sprawa wychowawczego wpływu Germana na Tanię, czy nawet sprawa zawierania małżeństw podczas studiów. Wiele uwag poświęcono samej sztuce. W tym wypadku głosy były zgodne: „Tania” to sztuka o nieprzeciętnych walorach ideowych i artystycznych, nieschematyczna, poruszająca bardzo istotne, życiowe problemy młodzieży. Warta jest wystawienia w innych teatrach Polski.

Celność i aktualność sztuki Arbuzowa przejawiała się jeszcze raz w atmosferze dyskusji. O bohaterach mówiono jak o bliskich osobach, zwracając się niejednokrotnie bezpośrednio do aktorów odzwierciedlających poszczególne role. Broniono tych postaci, do których odczuwano sympatie. Wystąpienie jednego z kolegów z potencjalnym Germanem wywołało na przykład gorące oklaski ze strony koleżanek i oburzenie wśród kolegów. Po raz pierwszy od bardzo dawna sztuka potrafiła tak mocno zainteresować publiczność, przyciągnąć ją, pobudzić do myślenia.

Pomogła zrozumieć skomplikowany jeszcze dla wielu nowy sens naszego życia.

KIOSK KSIĄŻKOWY

DLACZEGO ALITET UCHODZI W GÓRY?



Tychon Siemuszkin przez wiele lat pracował na Czukotce, głęboko poznał życie, charakter i zwyczaje ludzi tej dalekiej krainy. Był jednym z współautorów pierwszego czukockiego alfabetu, którego przedtem nie mieli wcale. Wszystkie te doświadczenia dopomogły mu do napisania wspaniałej powieści pt. „Alitet uchodzi w góry”.

Pisarz z zamiłowaniem i wielką znajomością życia przedstawia losy i charakterystyki swoich bohaterów. Wśród szeregu przyrody północny rozgrywa się pełna napięcia dramatyczna akcja: „Daleko leży Czukotka! Ludzie żyli tu wedle odwiecznych, niepisanych praw zwyczajowych” — pisze autor. Te właśnie niepisane prawa są przyczyną licznych konfliktów. Często przejmują one nas zgrozą i oburzeniem. Oto żona starego Kamienawa „dała słowo” i zamierza odejść do „niebna”. Po wypiciu „ostatniej herbaty”, córka jej, „Tagrena ze złotymi oczami” owinęła szyję matki skórką młodziutkiego renisa, a mąż Kamienawa narzucił pętlę z renisami i kiedy Ajje usiadł na kolanach staruszki i ujął mocno jej ręce w swoje dłonie przyciskając je do podłogi, pętlą zacisnęła się”.

*) Tychon Siemuszkin: Alitet „chodzi w góry”. „Iskry” — 1953. Tom I, II — cena 4,80.

Możliwość lekkiego zarobku ściągnęła na teren Czukotki wielu zagranicznych rabusiów, takim właśnie jest mistrz Thompson, zwany Chasie — Czerwony Nos.

Skupował on za bezcen drogocenne skórki u miejscowej ludności. Pomagał mu w tym z oddaniem jego sojusznik Alitet, bogacz się przy tym Nieubla, ganił walkę z tym wszystkim prowadzący posłanicy władzy radzieckiej: — komunisty Łoś, komсомолец Żukow i inni. Przyznają oni Czukomom nowe prawo życia. W życiu tym nie ma miejsca dla Thompsona. Aliteta, czy Szamanę Korage. Pojawia się szkoła i szpital, po raz pierwszy w tym kraju. Czukowie uczą się nieznanych przedtem zawodów. Nowy socjalistyczny był niesie z sobą nową świadomość i nowe stosunki między ludźmi.

Wielką miłośnicą do człowieka, dobrą życiową romantyką przepiełeni są rosyjscy bolszewicy, którzy przyszli w daleki, zacofany kraj, aby przynieść jego mieszkańcom światła idei i potrzebne prawdy socjalizmu. „Alitet uchodzi w góry” — to z talentem napisana książka o zwycięstwie mądrej leninowsko-stalinowskiej nrodowości polityki, o braterskiej pomocy przodującego rosyjskiego narodu dla wszystkich narodów Kraju Rad.

Książka ta została wyróżniona Nagrodą Stalinowską.

ORNAT.

Wytłnij i dołącz do poprzednich kuponów Kto prześle do redakcji w jednym kopercie 3 kolejnych kuponów (poczynając od dowolnego numeru) ten również udział w losowaniu bonów książkowych wartości 500 zł 300 zł i 200 zł

Kupon premiowy nr 30		
DOMU KSIĄŻKI I REDAKCJI POPROSTU		
upoważniający do wzięcia udziału w losowaniu bonów książkowych o wartości 500, 300 i 200 zł		
Nazwisko i imię		
Adres		
Uczelnia	wydział	rok

Wizyty

M. CZIAURELI
G. CAGARELI

Pokój czyściutki, bardzo jasny. Meble w pokrowcach. Koło okna w smudze promieni słonecznych — Lenin patrzy ze skupieniem w dal. W drzwiach z fajką w ręku stoi Stalin.

Przy stole, na brzeжку wieńskiego krzesła siedzi „gość”. Twarzy jego nie widać. Obok niego, w takiej samej pozie — drugi „gość”.

Po chwili milczenia jeden z przybyłych rozkłada gazetę i mówi nawijając widocznie do przerwanej rozmowy:

— Proszę, co pisze Kiereński!... Cytuję wyjątki: „Zamieszki w Petersburgu zostały zorganizowane przy pomocy agentów niemieckiego rządu. Aresztuje się przywódców i działaczy, którzy splamili się bratnią krwią...”

Stalin surowo patrzy na mówiącego:

— Po co cytujecie te oszczerstwa? Po co?

Zamiast odpowiedzi, drugi z przybyłych zwraca się do Lenina:

— Jesteśmy samotni, Włodzimierzu Iljczu. Przeciwko nam są nawet mienszewicy, nawet eserzy.

— Posłuchajcie, nie trzeba paniki — mówi Stalin.

Lenin odchodzi od okna i zbliża się do „gości”.

— Wszystkie frakcje żądają sądu nad naszą partią — ciągnie pierwszy „gość” — żądają waszego przybycia na ten sąd.

— Aha, więc o to idzie — wykrzykuje Lenin i siada przy stole, uparcie wpatrując się w rozmówcę.

— Właśnie, właśnie — podchwytuje drugi „gość” — to jedyne wyjście z sytuacji.

— Tak... — mówi Lenin i pyta z naciskiem: — Ale czy sąd... to organ władzy?

— Niewątpliwie — potwierdza drugi „gość”.

— A gdzie jest władza. — Rząd? Lenin wstaje i ciągnie z gniewem: — Co dzień zmienia się jego skład. Rząd próżnuje, — nie ma go; działa wojenna dyktatura.

— Po części — przyznaje pierwszy „gość”.

— Całkowicie. O sądzie nawet śmiesznie jest mówić. Istota rzeczy nie leży w sądzie. To epizod wojny domowej.

Lenin chodzi tam i z powrotem po pokoju.

— Przypuśćmy — ostrożnie zgadza się pierwszy „gość” — ale przecież sąd będzie jawny. Naród zrozumie... Nam się wydaje, że wasze stawienictwo jest konieczne, Włodzimierzu Iljczu.

— No wiecie, rozumiecie jak dzieci — wzrusza ramionami Lenin.

— Jak zdrajcy — precyzuje Stalin.

— Co? — usiłuje się obrazić pierwszy „gość”.

— A tak. — Lenin gestem podkreśla słusność słów Stalina i gniewnie wyjaśnia: — Zrozumcie wreszcie, że władzom nie sąd jest potrzebny, ale nagonka na internacjonalistów.

— Stalin podchodzi do drzwi i zagłada do przedpokoju.

— „Goście” wymieniają spojrzenia: — Co on robi?

Przekonawszy się, że Lenina w pobliżu nie ma, Stalin wraca i mówi z przejęciem:

— Trzeba pamiętać i nie wolno zapomnieć o tym, że nie mamy drugiego takiego Lenina.

Za jego plecami, w drzwiach pojawia się Włodzimierz Iljcz. Trzyma w ręku filiżankę i miesza łyżeczką herbatę.

— Ja przynajmniej nie znam takiego drugiego w historii ludzkości — ciągnie Stalin.

Włodzimierz Iljcz, zorientowawszy się, że o nim mowa, macha ręką i wychodzi, uśmiechając się z żałowaniem. Stalin, który nie zauważył jego pojawienia się, ciągnie z niewzruszonym przekonaniem:

— I dlatego za wyjątkiem partii, nikomu nie wolno rozporządzać się jego głową. Gdzie gwarancja — pytam was. Gdzie gwarancja, że ci sami junkrzy, którzy go powiodą na ten sąd, nie rozszarpą go po drodze?... Przecież to banda.

— To prawda, nikt z nas nie jest ubezpieczony przed takimi rzeczami

— obrażonym głosem odpowiada drugi odwiedzający.

— No, przypuśćmy — uśmiecha się Stalin i dodaje z nieskrywaną ironią, gładząc swoje wąsy ustnikiem fajki: — Możecie być spokojni. Wasze postępowanie już jest zabezpieczeniem.

Drzwi otwierają się. Wchodzi Świetłana. Skinąwszy niedbale głową w stronę „gości” idzie dalej i spotyka wchodzącego Lenina.

— Świetłanka — wita ją Lenin.

— Podziwiamie Włodzimierzu Iljczu — wykrzykuje dziewczyna drżącym głosem, podając mu kartkę papieru. Rozlepił na wszystkich rogach.

Lenin bierze kartkę, widocznie zerwaną z muru. Obydwa „goście” wstają i podchodzą do Lenina.

— Ostrzegaliśmy was — mówi ze źle skrywanym triumfem pierwszy odwiedzający.

— Zupełnie logiczne — potwierdza drugi.

Lenin przegląda kontrrewolucyjną odezwę:

Nie wypuszczając z rąk swego ciężaru, Maria Wasiliewna kłania się uprzejmie:

— Dzień dobry, dzień dobry — i słysząc jeszcze czyjeś kroki, pyta: — Czy tam jeszcze ktoś jest?

— Tam?... pod wasami przebiega lekki uśmiešek. — Właśnie wiecie... znakomity chirurg. Doktor Ulianow.

Lenin wchodzi.

— Ach, Boże mój, czegoż ja stoję... — zakłopotana się matka Świetłany. Postawiwszy miednicę na stolek szybko poprawia uczesanie i fartuch.

— Pozwólcie — spotyka „doktora”, Lenin wita się z nią.

— Dzień dobry.

Matka podaje mu rękę i wskazuje na wieszak:

— Proszę.

— Aha, dziękuję — Włodzimierz Iljcz kładzie na wieszak cały swój bagaż — palto i paczkę gazet.

— Bądźcie łaskawi umyć ręce — zaprasza matka i wskazuje miednicę, stojącą w korytarzu na stolku.

— Co? — pyta Lenin.

wa. Tak od roku piętego, kiedy mąż straciła...

Stalin wychodzi z korytarza, idzie do pokoju, gdzie leży Georgij. Lenin wytarłszy ręce, oddaje ręcznik.

— Doktorze — z nadzieją w głosie pyta matka Świetłany — może chory ma pójść stąd.

— Zobacze, zobaczę — uspokaja Włodzimierz Iljcz.

— Zobaczenie — zgadza się matka i wskazuje Leninowi jak przejść do chorego.

— Z udaną powagą na twarzy Lenin wraca do pokoju, gdzie oczekuje go zatroskana matka Świetłany.

— Obejrzeliscie go? — pyta Lenina z niepokojem i nadzieją w głosie.

— Obejrzałem.

— No i jak?

Lenin rozkłada ręce beznadziejnym ruchem i z takim gestem, z jakim zazwyczaj lekarze wymawiają zdanie: „Nauka w tych wypadkach jest bezsilna”.

— Lepiej mu nawet, ale jest zaskochany.

Odpowiedź ta nie bardzo przypada do gustu matce Świetłany.

— W tym właśnie bieda — wykrzykuje i dodaje z wyrzutem. — Od razu widać, doktorze, że nie jesteście matką.

Lenin pociera ręką swoje wysokie, mądre, tyse czoło i z ukosa spojrzawszy na zaniepokojoną kobietę, pyta żartobliwie:

— A czy przedtem tego nie było widać?

— Dajcież spokój, doktorze — macha ręką matka Świetłany.

Lenin siada przy stole i pisze „receptę”.

Stojąc za jego plecami, matka dalej się skarży:

— Cóż w nim takiego? No co?... Wzrost — niby baśniowa wieża...

— Więc widzi dalej niż inni.

Lustro na ścianie odbija śmiejącą się twarz Włodzimierza Iljicza, ale Maria Wasiliewna nie spostrzega tego.

— Wywieźcie moją Świetłankę, a ja nie chcę jej oddać. Gruzin. U nich są haremy.

— Co takiego? — śmieje się Lenin.

— A właśnie, że są haremy — z uporem powtarza matka.

Włodzimierz Iljcz odwraca się do niej i śmieje się zaraźliwym śmiechem.

— Maria Wasiliewna trzyma w ręku binokle i poprzez szkła czyta receptę, pozostawioną przez „doktora”.

„Świetłanka powinna wyjść za mąż. Babcia powinna nianaczyć wnuki”.

— Maria Wasiliewna, rozczulona, kręci głową i śmieje się:

— To ci doktor. (Fragment scenariusza filmowego „Wielka Łuna”).



BERTOLD BRECHT

Niezmyślony napis

W czasie wojny światowej

W celi włoskiego wzięcia w San Carre, gdzie pełno było żołnierzy zatrzymanych, pijaków, złodziei, socjalista — żołnierz jakiś kopolowym ołówkiem na ścianie napisał: Niech żyje Lenin!

Wysoko, w mrocznej celi zaledwie widocznie, ale napisał to ogromnymi literami.

Gdy do ujrzeni strażnicy, przysłali malarza z kubelkiem pełnym wapna. I pędzlem na długiej ręczce zamalował ten groźny napis.

Ale ponieważ wapnem wiodł tylko po śladach ołówka, wysoko w celi widniało teraz wapnem:

Niech żyje Lenin!

Dopiero drugi malarz szerokim pędzlem to wszystko tak przekreślił, że znikło na parę godzin, ale już o poranku,

gdy wapno wyschło, wystąpił spod niego znowu napis: Niech żyje Lenin!

Wtedy strażnicy wysłali przeciw napisowi murarza, zbrojnego w nóż, i przez godzinę skrobał, litera po literze.

Gdy skończył, wysoko w celi widniał, bezbarwny teraz, lecz w mur głęboko werźnięty niezmyślny napis:

Niech żyje Lenin!

Tak więc mur rozwalcie! — powiedział żołnierz.

Przełożył LECH PIJANOWSKI

MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA

Pomnik w Poroninie

Wielkich
Pamięć powtarza,
Rzeźbi ich postać w kamieniu,
Jak drzewo owocujące
Jest ich myśl.
Jak wodospad, iskra
Jest ich wola.
Która zimą powraca
Do garbatych gór, w studnie dolin,
Która wiosną przywraca
Kwiaty i zboża polom.
Wiele lat, wiele lat...
Świerki mnożyły gałęzie,
Potok zmieniał bieg kręty,

Powracał halny wiatr,
Mięśce to samo —
On chodził tędy.
Czy słyszał, jak milczą góry,
On, który znał milczenie gniewu
Czy widział, jak burza wybucha,
Powała skały i drzewa...
On, który rzucił
Iskrę, co świat zajął.
Wicher świerki podważa,
Wieczna strumień praca.
Wielkich pamięć powtarza,
Do żywych muszą wracać.

W gościnie u Lenina

(Dokończenie ze str. 1-ej)

krwi i dla tych koni wybudowana została olbrzymia stajnia. I robotnicy zakasawszy rękawy wzięli się do przebudowania stajni na teatr; uprzątnęli budynek, wybiłili go, zrobili okna, poukładali podłogi, zbudowali scenę, przygotowali meble, przeprowadzili elektryczność i kiedy wszystko było już gotowe — posłali do Moskwy delegację po artystów. Artyści z radością przyjęli zaproszenie. Cała osada zbiegła się na otwarcie teatru. To była wspólna uroczystość.

Iljcz słuchał w zachwycie, promieniały mu oczy:

— No, no — przynaglał moją opowieść. Krótkiemu charakterystycznemu „no, no” — umiał Lenin nadawać nieskończoną grupę odcienn — od ostrożnego powątpiewania, lub zjadliwej ironii, do aprobującej zachęty charakteryzującej człowieka wnikliwego umysłu, rozumiejącego wszelkie „przeciwności losu”.

„I oto robotnicy własnymi siłami urządzili ze stajni „szykowną salę widowisk”.

Oczy Włodzimierza Iljicza zapłonęły niegasnącym, czystym blaskiem. Poderwał się z krzesła krępy i tęgi, trzymając się za kłapy marynarki, zaniósł się cudownym, leninowskim, dziecięcym niemal śmiechem.

Nigdy nie spotkałem człowieka, który by umiał śmiać się tak zaraźliwie. Dziwne nawet się wydawało, że surowy realista, człowiek wielkich, historycznych przeznaczeń może się śmiać tak dziecinnie, do łez. A Iljcz zanosząc się śmiechem, z trudem go opanowując, powiedział:

— Tylko robotnik potrafi zbudować ze stajni „szykowną salę widowisk”, a zobaczcie, co on jeszcze potrafi zbudować...

Gdybym nigdy przedtem nie słyszał o Iljczu, nie widywałbym go, nie wiedziałbym jaki jest jego stosunek do klasy robotniczej — słowa te, a nade wszystkim szczery, pełen serdeczności ojcowskiej śmiech odkryłyby mi całą głębię jego miłości, wiary i dumy z budowniczego życia, robotnika — twórcy.

Myśl Lenina na wzór igły kompasu zawsze zwrócona była w kierunku klasowych interesów ludu pracującego.

Ocierając łzy śmiechu, już poważnie, z mocą, ale niegłośno powiedział Lenin:

— Bardzo drogo zapłacili robotnicy za swe prawo gospodarzenia życiem, ale koniec końców ich będzie

zwycięstwo. Taka jest wola historii.

Nadzieja Konstantynowna przysłuchiwała się hałasowi, który się podniósł w korytarzu i za chwilę pospiesznie wyszła.

Po powrocie szepnęła coś Włodzimierzowi Iljczowi.

Jak gdyby całun przesłonił mu twarz. Wyraz oczu stał się naturalny, chłodnawo-kpiący, a spojrzenie twarde, nieugięte. Nie był to już rozbawiony współtowarzysz rozmowy, lecz wódz klasy robotniczej, genialny przywódca sił proletariatu.

— Wybaczone mi — powiedział — otrzymałem w tej chwili wiadomość, iż biali wyrzucili nasze wojska z Rostowa. Muszę pójść pracować...

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Pożegnałem się, z trudem odrywając wzrok od Włodzimierza Iljicza.

Za dwa dni doszła nas wiadomość, że biali zostali wyrzuceni z Rostowa, że Armia Czerwona ściga ich ku Noworosyjsku, a jeszcze po kilku dniach kraj się dowiedział, że watahy białych zepchnięte zostały w morze...



Profesor dr Tadeusz Banachiewicz.

50 lat temu Centralne Biuro Astronomiczne w Kilonii otrzymało od nieznanego studenta z Warszawy telegram z zapowiedzią, że 19 września 1903 r. planeta Jowisz zakryje gwiazdę stałą BD-6°191. Ponieważ to rzadkie zjawisko nie było przewidziane ani w Berlińskim Roczniku Astronomicznym, ani w Brytyjskim Almanachu Nautycznym — placówka kilonńska roztelegrafowała w świat wiadomość otrzymaną od polskiego studenta. Dzięki temu liczne obserwatoria miały możliwość zaobserwować przebieg zjawiska i przekonać się o prawdziwości zapowiedzi młodego Polaka.

DROGA DO SŁAWY

W ten znamienity sposób rozpoczął swą działalność naukową ówczesny student Uniwersytetu Warszawskiego Tadeusz Banachiewicz — dziś profesor UJ, wybitny astronom i matematyk, członek tytułarny Polskiej Akademii Nauk. Z okazji 50-letniego jubileuszu polskiego uczonego nasz znany astronom prof. Józef Witkowski w specjalnym wydawnictwie^{*)} omawia ogrom osiągnięć Banachiewicza. Nie waha się postawić go w hierarchii polskiej astronomii na drugim miejscu po Koperniku.

Dr Banachiewicz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, wychowanek słynnego obserwatorium w Pułkowie pod Leningradem, później dyrektor obserwatorium w Dorpacie, od roku 1919 jest profesorem UJ, będąc jednocześnie dyrektorem krakowskiego obserwatorium. W czasie swej poliwiekowej działalności naukowej prof. Banachiewicz został mianowany doktorem honoris causa uniwersytetów w Warszawie, Poznaniu i Sofii, był wiceprezsem Międzynarodowej Unii Astronomicznej i Baltyckiego Komitetu Geodezyjnego, przewodniczył wiele lat w Międzynarodowej Komisji dla Spraw Księżyca, jest członkiem Akademii w Paryżu, Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego w Londynie. Imię Banachiewicza nosi jedna z planet odkryta przez znanego astronoma belgijskiego Arenda. Prof. Banachiewicz jest też znany jako organizator i uczestnik wielu polskich wypraw astronomicznych, np. w roku 1936 na Syberię.

Dorobek naukowy jubilat przekracza 230 pozycji. Prace jego, wydane w kilku językach i znane na całym świecie, dotyczą wielu dziedzin astronomii: mechaniki niebios, astronomii teoretycznej, obserwacyjnej, geodezyjnej, matematycznej i obliczeniowej. Swą światową sławę prof. Banachiewicz zawdzięcza przede wszystkim pracom z teorii wyznaczania orbit planet i komet i wynalezieniu rachunku krakowianowego.

ASTRONOMIA ZACZYNA SIĘ OD MATEMATYKI

Gdy w 1930 roku odkryto planetę Pluton, obliczenia dokonane przez naukę Zachodu (według metod pochodzących z czasów Laplace'a i Gaussa) doprowadziły do całkiem paradoksalnych rezultatów. Wówczas to prof. Banachiewicz obmyślił specjalną metodę rachunku i na podstawie wyników kilkumiesięcznych obserwacji stwierdził definitywnie, że odkryte ciało niebieskie jest planetą oraz wyznaczył jej tor. Równocześnie wyznaczył on, dlaczego klasyczne metody rachunku musiały w danym wypadku zawieść.

Prof. Banachiewicz jest bowiem nie tylko astronomem, lecz także sławnym dziś na całym świecie matematykiem. W nauce matematyki istnieją dwa kierunki:

O krakowianach i innych ciekawych sprawach

matematyki teoretycznej (je przedstawił ciałem w Polsce jest prof. Sierpinski) i praktycznej, której poświęcił wiele lat pracy właśnie nasz jubilat. Ta praca doprowadziła do stworzenia i rozwinięcia rachunku krakowianowego.

Rachunek krakowianowy powstał z zagadnień wyznaczania orbit. Praktyczną korzyść rachmistrzowską z używania nowego rachunku w zagadnieniu poprawiania orbit można wykazać dwoma liczbami: metody dawne wymagają użycia tu około 3 tysięcy cyfr, podczas gdy teoria krakowianów potrzebuje ich około tysiąca.

Teoria krakowianów umożliwia rozwiązanie szeregu problemów matematyki. Na przykład przy pomocy tego rachunku prof. Banachiewicz zdołał uzyskać ogólny wzór poligonometrii kulistej, z którego wypływają wszystkie wzory trygonometrii kulistej. Tym samym zakończył on dzieło wielu generacji matematyków, z Eulerem i Gausssem na czele.

CO TO SĄ KRAKOWIANY?

Być może, niejednym z Czytelników interesujących się matematyką, a nie mających okazji bliższego zapoznania się z krakowianami, będzie ciekaw zobaczyć, jak też taki krakowian

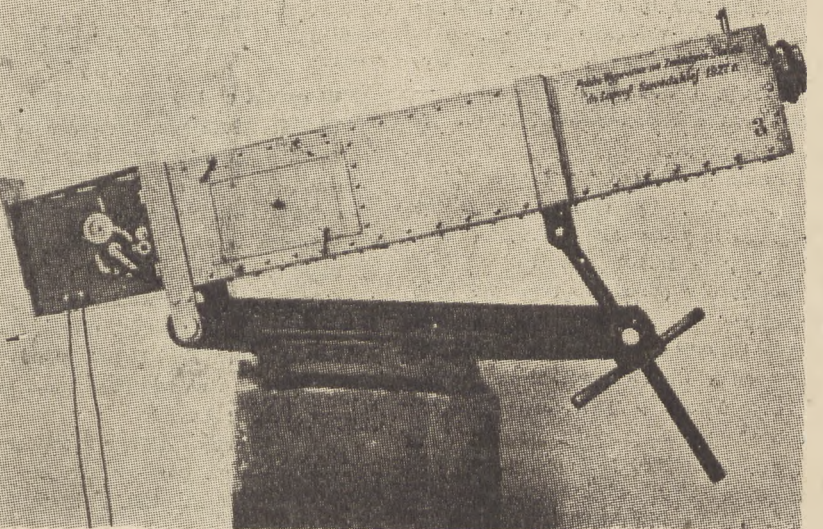
na wiele zjazdów i konferencji astronomicznych, gdzie referował polskie osiągnięcia naukowe. Na Kongresie Międzynarodowej Unii Astronomicznej w Rzymie (1952) rozpatrzył on krytycznie metody badań Księżyca prowadzone przez uczonych Zachodu, wytknął popełnione przez nich błędy i wskazał metody właściwe. Nie pierwszy to i nie ostatni raz nasz uczony wystąpił w podobnej roli krytyka i nauczyciela.

W dziejach astronomii francuskiej został zapisany taki wypadek: Astronom Puisseux przez wiele lat prowadził obserwacje nad wazaniem się („libracją”) Księżyca. Jak wiadomo, widzimy stale tylko jedną stronę naszego satelity, ale w ruchu obrotowym Księżyca zachodzą pewne ciekawe „kiwania się”, które ukazują nam więcej niż 50 proc. jego powierzchni. Te interesujące libracje są przedmiotem badań wielu astronomów.

Otoż Puisseux na podstawie swych badań przeprowadził obliczenia (opublikowane w annałach Obserwatorium Paryskiego), z których wynikałoby, że Księżyc nie jest ciałem sztywnym. Ale prof. Banachiewicz po krótkim studium pracy astronoma francuskiego odkrył w niej podstawowy błąd, skutkiem czego rozprawa francuska musiała zostać zupełnie przeobrażona.

DYREKTOR I WYNAJAZCA

Kierując przez dziesiątki lat krakowskim obserwatorium prof. Bana-



Chronokinematograf pomysłu prof. Banachiewicza.

wygląda. Jeżeli napiszemy 2 proste równania o dwóch niewiadomych:

$$\begin{aligned} 4x + 2y &= 10 \\ 2x + 10y &= 14 \end{aligned}$$

to krakowianem będzie ujęta w kłamrowy nawias tabelka współczynników przy niewiadomych, kształtu:

$$\begin{pmatrix} 4 & 2 \\ 2 & 10 \end{pmatrix}$$

Tabelka taka sama nie ma wartości liczbowej. Ale operując podobnego typu pojęciami w sposób opracowany przez prof. Banachiewicza można sztywno i pewnie rozwiązywać różne skomplikowane zagadnienia i to nie tylko z zakresu matematyki i astronomii^{*)}. Rachunek krakowianowy ma również szerokie znaczenie dla geodezji, inżynierii itp.

W zawiłych rachunkach astronomicznych (poprawianie orbit planet i komet) wzory krakowianowe dzięki swej precyzji i dostosowaniu do maszynowego rachunku (za pomocą arytmometrów) są dziś używane na całym świecie. Ostatni rachunek krakowianowy rozwijał się w kierunku ułatwienia rozwiązywania układów równań o wielu niewiadomych, gdzie (od czterech niewiadomych począwszy) rachowanie przy pomocy wyznaczników jest już bardzo uciążliwe.

Wydawcą swe pochodzenie z zagadnień całkiem teoretycznych, rachunek krakowianowy stał się dziś narzędziem niezmiernie pomocnym dla zagadnień typu praktycznego. Sam autor krakowianów zżyznił się, gdy niedawno w czasopiśmie „Szkło i Ceramika” ukazała się praca poświęcona zastosowaniu krakowianów do rozwiązania pewnego aktualnego zagadnienia surowcowego w przemyśle szklarskim.

Prof. Banachiewicz był delegatem

ka astronomiczna. Jest tu bowiem również stacja sejsmograficzna i gravimetryczna oraz stacja meteorologiczna. Stąd słyszymy podawane codziennie przez Polskie Radio sygnały czasowe. Wszystko to wiąże tę pozornie oderwaną od życia placówkę z nurtem naszych codziennych potrzeb.

PRZY POMOCY KSIĘŻYCA

Bardzo interesujące są też prace jubilatów w dziedzinie metody księżycowo-geodezyjnej. Warto tu napomknąć, że pierwszym nowoczesnym geodetą był nasz Kopernik, gdyż w swym dziele stwierdza, iż Ziemia ma kształt zależny od siły ciężkości będącej wynikiem przyciągania się cząstek materii. W 100 lat po Koperniku zostały ustalone metody triangulacji. W roku 1743 uczony francuski Clairaut ułożył wzór, pozwalający obliczać spłaszczenie Ziemi z wielkości przyspieszenia w danym punkcie. W roku 1843 powstał wzór Stokesa, umożliwiający dokładne obliczenie kształtu Ziemi z pomiarów siły ciężkości.

A dziś — do obliczeń geodezyjnych przywołuje się na pomoc Księżyc i gwiazdy. Bowiem gdy chodzi o ściśle wyznaczenie odległości dłu dalekich punktów Ziemi, zwłaszcza przedzielonych oceanami — wtedy zwyczajne metody triangulacji zawodzą.

A oto przykład metody księżycowo-geodezyjnej. Chcemy dowiedzieć się, jak wielka jest odległość np. Warszawa — Moskwa. Dziś w nocy Księżyc zakryje dla Warszawy o godzinie powiedzmy 12 gwiazdę taką a taką, ale w Moskwie chwila odkrycia tej samej gwiazdy wypadnie później, np. o 1100 sekund. Przypuśćmy, że Księżyc jest mniej więcej równoległy do linii Warszawa — Moskwa i wiemy, że Księżyc przebywa w przestrzeni swą drogę z szybkością około 1 km na sekundę, możemy szukaną odległość obliczyć na 1100 km. Oczywiście w konkretnym wypadku obliczenia jest znacznie bardziej skomplikowane.

Lista osiągnięć naukowych prof. Banachiewicza, tak cennych dla światowej, a szczególnie dla polskiej astronomii — jest znacznie dłuższa. Uczony ten nadal pomnaża swój dorobek naukowy.

Wielostronne, wrodzone zdolności, ogromna pracowitość i wytrwałość, umiejętność wiązania teorii z praktyką — oto krótka charakterystyka postaci prof. Banachiewicza — uczonemu, który przez własną pracę naukową wychowywał i wychowywał nadal kadry polskich astronomów.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

^{*)} „Pamięć 50-letniej działalności naukowej Tadeusza Banachiewicza”. Wydali J. Witkowski i E. Kordylewski. Kraków 1953 r.

^{**)} Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazuje się niedawno obszerna monografia prof. Banachiewicza, przedstawiająca zasady i zastosowanie algebry krakowianowej.

Dyskutujemy JAK SIĘ UCZYĆ

Nowy problem — z czego i jak

Dyskusja „Jak się uczyć” dotychczas przyniosła nam bardzo dużo korzyści, na wielu grupach studenckich UMCS słyszy się głosy rozszkarpujące problemy poruszane na łamach pisma, na KUL niektórych „kujonów” nazywa się już „kuzynami Adeli”. A więc dyskusja spełnia swe zadanie.

Chodzi tylko o to, by studenci zabierali głos i na inne, również ważne problemy związane z uczeniem się. Na przykład ja czytając wypowiedzi dotyczące twórczego

Kronika konferencji teoretycznych

SPODZIEWAMY SIĘ WIELE

Współczesna medycyna przy rozwiązywaniu problemów lekarskich coraz częściej posługuje się koncepcjami i metodami pawlowizmu. Nauka Pawłowa ma np. szerokie zastosowanie w terapii, internie, chirurgii itp. Dlatego też zorganizowanie na naszej uczelni (PAM — Szczecin) konferencji teoretycznej na temat pawlowizmu ma dla nas niemałe znaczenie: studenci tworząco poszerzają swoją wiedzę o najnowsze osiągnięcia tej nauki, a katedrom pozwoli to dalej przebudowywać metody dydaktyczne i pracę naukowo-badawczą.

Konferencja odbędzie się w kwietniu br. Do połowy grudnia udział w konferencji zgłosiło 350 studentów, ciągle jednak napływają nowe zgłoszenia. Zgłaszający się przydzielani są do jednej z 21 katedr — w zależności od wybranego tematu. Nad całością prac czuwa prof. Dr Stojalowski. Spośród członków kolektywu organizacyjnego konferencji na wyróżnienie zasługuje kol. Sudakiewicz. Jako pierwszy najlepiej zabrała się do pracy klinika neurologii przeprowadzając zebrańa zapanowacze itd.

Dla naszej konferencji ustalono szereg ciekawych tematów, nad których przygotowaniem czuwają poszczególne katedry. Np. Katedra Podstaw Marksizmu — Leninizmu przygotowuje temat „Nauka Pawłowa — potwierdzeniem i rozwinięciem praw materializmu dialektycznego”, Zakład Neurologii — „Jedność ustroju i środowiska”. Samodzielna praca nad takimi tematami nie tylko poszerzy naszą wiedzę teoretyczną, ale również stworzy podstawy do dalszej aktywizacji naszych kół naukowych. Tak więc po naszej konferencji teoretycznej spodziewamy się wiele i chyba nie zawiedzimy się.

Eugeniusz Wiśnik
PAM — Szczecin

WSPÓLNIE Z ROBOTNIKAMI

Ponieważ zeszłoroczna konferencja teoretyczna na naszej uczelni wydatnie pomogła nam w pracy — zaraz po jej zakończeniu przystąpiliśmy do organizowania drugiej konferencji. Nie będzie to już jednak konferencja samych studentów, gdyż wezmą w niej również udział robotnicy. Ogólnym tematem tej konferencji jest „Walka o obniżkę kosztów własnych w socjalistycznym przedsiębiorstwie przemysłowym”. Temat ten rozpadła się na kilka podtematów w zależności od specjalizacji studentów, np. dla sekcji ekonomiki przemysłu przewidziane są podtematy: „Wykorzystanie środków trwałych w przedsiębiorstwie przemysłowym oraz ich wpływ na obniżkę kosztów własnych” i „Walka o wzrost wydajności pracy i obniżenie kosztów produkcji przemysłowej”.

Referaty na konferencję obok teoretycznej analizy zagadnień będą zawierać również dane faktyczne, zebrane przez studentów podczas praktyk wakacyjnych z różnych przedsiębiorstw przemysłu rolnego — spożywczego. Wymiana poglądów z robotnikami tego przemysłu (w toku przygotowań i pod-

czas konferencji) pozwoli wszechstronnie ujawnić możliwości obniżenia kosztów własnych i wyzyskania istniejących rezerw produkcyjnych w przemyśle rolnospożywczym. Ma to szczególne znaczenie w świetle uchwał IX Plenum KC PZPR. Konferencja ta pomoże nam również podnieść na wyższy poziom wiedzę studentów, nauczyć ich rozwiązywania aktualnych zagadnień naszego życia gospodarczego.

Mieczysław Napierała
WSE — Wrocław

NA X LECIE POLSKI LUDOWEJ

Nasza uczelnia uczci X-lecie Polski Ludowej zorganizowaniem II konferencji teoretycznej na temat: „Metody i środki kształtowania naukowego poglądu na świat”. Na konferencji, która odbędzie się w kwietniu br., zostanie więc omówiona istota naukowego poglądu na świat oraz metody jego kształtowania. Oprócz studentów i pracowników naukowych przewiduje się również udział absolwentów, których doświadczenia mogą nam pomóc przy rozwiązywaniu wielu spraw. Referaty i głosy dyskusyjne mogą być przygotowywane indywidualnie lub zespołowo, większość jednak wypowiedzi przygotowuje się zespołowo. Niektóre sekcje w całości opracowują pewne podtematy.

Chcielibyśmy, aby dorobek konferencji stał się nie tylko naszą własnością, ale aby również został on jak najszerzej popularyzowany wśród ogółu nauczycieli oraz wśród uczniów szkół pedagogicznych. Duże zainteresowanie konferencją (na zebranie organizacyjne przybyło 350 osób) oraz doświadczenia zeszłorocznej pozwoliła nam na osiągnięcie wysokiego poziomu naukowego i organizacyjnego konferencji.

Jan Kiła
PWSP — Warszawa

DZIĘKI KOŁU NAUKOWEMU

Jeszcze w marcu ub. roku postanowiono u nas na WSE w Sopocie zorganizować w listopadzie (też 1953) konferencję teoretyczną na temat prawa wartości i jego działania w transporcie morskim, handlu zagranicznym itp. — według specjalizacji naszej uczelni. Utworzono komisję organizacyjną, katedry ogłosiły tematy kierunkowe, został nawet wydany biuletyn konferencji... ale na tym skończyły się ówczesne przygotowania. Podczas sesji czerwcowej i wakacji zapomniano o konferencji, również po wakacjach niewiele się zmieniło. Stało się jasne, że termin konferencji nie będzie (no i faktycznie nie był) dotrzymany.

Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy uaktywniło się Koło Naukowe (którego przewodniczącym został prof. Hoffman) i gdy zajęło się ono sprawą konferencji. Obecnie w kole dyskutuje się już referaty przygotowane na konferencję, a przebieg dotychczasowych prac daje gwarancję, że nowy termin — kwiecień 1954 — zostanie już z pewnością dotrzymany.

Bogumił Troka
WSE — Sopot

twórczym stosunku do nauki lub o rozwoju zainteresowań naukowobadawczych (a moim zdaniem zainteresowania te tkwią w każdym człowieku, trzeba je tylko umiejętnie rozbudzić).

Nie chcąc być głośliwym opre się na przykładzie z zeszłorocznej sesji. Mieszkaliśmy razem z Bronkiem i w jednym czasie przygotowaliśmy się do egzaminu z histologii. Było kilka źródeł: różne podręczniki i skrypty wykładowe. Ja jeszcze poprzednio oprócz skryptu zaopatrzyłem się w podręcznik Kurkiewicza, więc nie wypadło mi nie przeczytać; potem zaciekał mnie jeden dział ze skryptu Hajdukiewicza i w rezultacie przeczytałem ten skrypt w całości. Ogłędając piękne rysunki w podręczniku Szymonowicza (b. stary) — przeczytałem kilka rozdziałów; nie mogłem się też oprzeć przed przeczytaniem kilku rozdziałów z histologii Maziarzkiego.

W rezultacie przed egzaminem zaledwie zdążyłem przeczytać obojętne podręcznik prof. Bagniewskiego i skrypt prof. Słowikowskiej, u której zdawałem.

Tymczasem Broniek opanował „na blaszkę” jedynie obowiązujący podręcznik i skrypt. Podziwiałem jego pamięć, gdy recytował z tych źródeł jak z „Pana Tadeusza”. Pożyczyłem zdawkę egzaminu, bardzo przyjemnie wypadła ta rozmowa z prof. Słowikowską i w rezultacie Broniek otrzymał ocenę dobrą, a ja — bardzo dobrą.

Najważniejszy jest jednak nie stopień, ale to, że dzięki czytaniu różnych podręczników więcej rozumie z histologii niż Broniek, nauczyłem się histologicznie myśleć, wiadomości z tego przedmiotu jakoś długo „zatrzymują się” w mojej pamięci, nie uleciały z egzaminem. A o to przecież chodzi.

Mimo to wszystko, nie jestem pewny, czy zawsze słuszny jest mój pogląd, że w nauce należy wykonywać jak najwięcej źródeł, czytając tylko jeden raz. Poza tym uważam, że warto by podyskutować nad tym jak najlepiej uczyć się z podręczników i skryptów: czy tylko czytać, czy stosować system „podkreślenia”, czy też wszystko kunspektować i dlatego sprawy te stawiam do dyskusji.

ADOLF JANUSZEWSKI
UMCS — Lublin

O czym warto wiedzieć



Komunikacja na olbrzymich terenach kontynentu azjatyckiego — to sprawa nielatwa nawet dla najnowszych samolotów odrzutowych, poruszających się z szybkością ponaddwukrotną. Toteż nie dziwnego, że wśród wielu wspaniałych planów budowy komunizmu dziś rozpatruje się również możliwość komunikacji raketowej dla ruchu pasażerskiego.

Co wiemy dziś o rakiecie? Jest ona wynalazkiem chińskim. Zarówno proch strzelniczy jak i raketę wynalazł przed tysiącem lat Chińczyk. Tysiąc lat temu do budowy zabawkę czy broni zastosowali Chińczycy w prosty, lecz genialny sposób najpowszechniejszą zasadę fizyki — prawo równości działania i przeciwdziałania.

Dopiero w XVII wieku znalazł się w Europie uczony, który potrafił prawo to sformułować słownie i liczbowo. Od Newtona minęło jeszcze ćwierć tysiąclecia, nim genialny samouk, Konstanty Ciolkowski — syn polskiego zesłańca z Wołynia, pionier rakiety w ZSRR — stworzył podstawy teorii lotu raketowego.

Mija właśnie 50 lat od ogłoszenia przez Ciolkowskiego teorii rakiet. Jej autor nie doczekał się realizacji swych pomysłów. Lecz dziś naukowcy radzieccy pracują już nad przystosowaniem rakiet do komunikacji pasażerskiej w lotnictwie cywilnym.

Pierwsza linia raketowa ma wieść z Moskwy do Karagandy przez Kujbyszew i Magnitogorsk. Jej długość po powierzchni Ziemi wynosi w prostej linii 2400 kilometrów. Oczywiście ta „prosta” linia

jest naprawdę łukiem, albowiem jest to mniej więcej dziesiąta część obwodu Ziemi (na równoleżniku Moskwy).

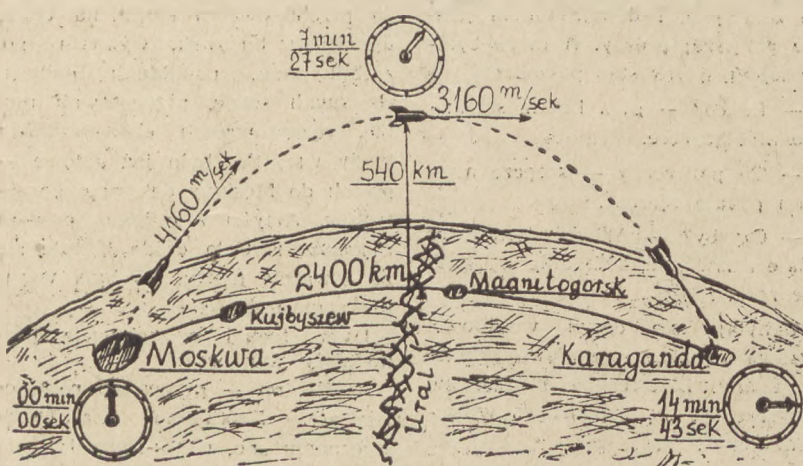
A jak będzie wyglądał taki lot? Startująca w Moskwie raketa po 100 sekundach napędu, lecąc z przyspieszeniem 5 razy większym od ziemskiego, przebywa 200 km i osiąga wysokość około 120 km. W tej chwili silniki przestają pracować, a pojazd z szybkością prześzo 4 kilometrów na sekundę (!) rozpoczyna lot bezsilnikowy wznosząc się w górę po krzywej linii.

U szczytu łuku szybkość obniża się do 3000 m/s, a raketa znajduje się wówczas na wysokości około 540 km ponad poziomem mo-

rze, czyli w sferze próżni i nocy międzyplanetarnej. Nad głowami pasażerów gorzej jaskrawe gwiazdy i rozpalone Słońce na tle akasmitnie czarnego nieba. Spadek zaczyna się po drugiej części łuku eliptycznego, łączącego punkt startu z celem jazdy. Szybkość znów wzrasta. Na 200 km przed punktem lądowania trzeba rozpocząć hamowanie. Silniki pracują teraz w przeciwnym kierunku, zużywając na hamowanie równie wielką energię, co na lot w górę.

Czas lotu na przestrzeni 2500 km wyniesie niecały kwadrans. I pomyśleć, że to wszystko w niedalekiej przyszłości stanie się rzeczywistością!

E. B.



Czy znasz już tę książkę?

Nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry” ukazał się, przygotowany przez Wydział Historii KC PZPR, zbiór materiałów i dokumentów z działalności Związku Walki Młodych.

Część pierwsza obejmująca lata 1942 — 1944 ukazuje udział ZWM w walce z okupantem do chwili wyzwolenia kraju.

Ważną drugą część zawiera o działalności ZWM-owskiej nad odbudową kraju, jej udział w walce o uwalnienie władzy ludowej i zjednoczenie młodzieży polskiej.

Ponadto zbiór zawiera wspomnienia z pola walki działalności ZWM-u.

Nakład 10.000 egzemplarzy, str. 570, cena zł. 15.

O postawie członka partii

Nakładem „Książki i Wiedzy”, w ramach Biblioteczki „aktywności partyjnej” ukazał się polski przekład zbioru artykułów zatytułowanego „O postawie członka partii”. Zbiór zawiera następujące artykuły:

A. Mieladze — O ideowości pracownika partyjnego — fragmenty z artykułu wstępnego w czasopiśmie „Kommunist” nr 5, 1953; Komunista — to aktywny bojownik o realizację polityki i uchwali partii.

L. Slepów — O prostocie i skromności.

Z. Szajachmetow — Szczerść i uczciwość wobec partii. — Fragmenty z artykułu wstępnego w gazecie „Prawda” nr 86, 1953 r.; Wielka odpowiedzialność pracownika partyjnego.

W Czernyszew — Nieprzejędną postawą wobec braków — to ważna cecha członka partii. Str. 52, cena zł. 0,60.

Zwycięzami losowania premii książkowych zostali koledzy: Ryszard Mikruta, Czesław Górka, Tadeusz Piecuch.

Losowanie odbyło się 31.XII ub. r. Bon książkowy na 500 zł wylosował kol. Ryszard Mikruta — stud. WSE w Krakowie; bon na 300 zł — kol. Czesław Górka — stud. PWSA w Łodzi, bon na 200 zł — kol. Tadeusz Piecuch — stud. SGGW w Warszawie.

Następne losowanie odbędzie się 30.I.1954 r. Do udziału w losowaniu uprawnieni są czytelnicy, którzy nadesłali trzy kolejne kupony premiowe Domu Książki i POPROSTU w okresie od dnia 1.I. do dnia 30.I.54 r.

Korespondenci sygnalizują

ZAPOMNIANA GRUPA

VI grupa II roku wydziału elektrycznego odbyła w bież. roku akadem. zaawansowane dwa ćwiczenia z podstaw marksizmu - leninizmu. W ubiegłym roku na grupie tej istniała podobna sytuacja.

Nie rozumiemy dlaczego tak jest, ponieważ inne grupy pracują systematycznie. Czyżby o studentach VI grupy Katedra Marksizmu - Leninizmu zapomniała?

Jan Biskupski
Politechnika Wrocławska.

POTRZEBNY ZAKŁAD FRYZJERSKI

W Miasteczku Akademickim w Lublinie przy ul. Langiewicza 17 w blokach A i B znajduje się sklep Spółdzielni Spożywców i różne zakłady usługowe. „Ruch” niedawno otworzył kiosk, w którym studenci mogą nabywać codziennie pisma, tygodniki, książki do czyta-

nomietru. Toteż gdy jedna z mieszkanki zachorowała, koleżanki z Rady Mieszkanców nie mogły jej zmierzyć gorączki.

W Domu tym jest co prawda apteczka, ale źle zaopatrzona. Oprócz termometru brak w niej tak podstawowych leków jak aspiryna i veramon. O pełniejsze zaopatrzenie apteczki Rada Mieszkanców kilkakrotnie interweniowała, ale bez żadnego skutku.

T. Sz.
Warszawa

DLACZEGO?

Przy ul. Jagiellońskiej 28, w domu administrowanym przez Ekspozyturę ZOA w Warszawie, mieszka m. in. kol. Kazimierz Zybert — student III r. sekcji dziennikarskiej UW. Nad jego mieszkaniem znajduje się bak z wodą u którego od dłuższego czasu popusta jest rura odpływowa. Kol. Zybert chodził już kilkakrotnie do ZOA i prosił o naprawę rury. Uszkodzenie jest niewielkie, ale pociąga za sobą częste przerwy w dopływie prądu, oraz powoduje wilgoć.

Niestety, Ekspozytura ZOA tego nie dostarcza. Dlaczego?

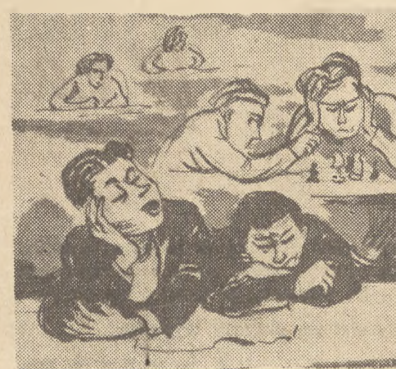
KUM.

ZBLIŻA SIĘ SESJA...

Sesja zbliża się do dnia na dzień. Powinniśmy wykażać w tym okresie maksimum pilności. Niestety, nastrój na niektórych wykładach jest wysoce niezadowolający.

Np. na wykładzie prof. Babińskiego z encyklopedii prawa można na palcach jednej ręki policzyć tych, którzy notują i uważnie śledzą wykład. Reszta robi wszystko, czego robić nie powinna. Można więc zobaczyć studentów czytających gazety, pisańcych listki, grających w różne gry, a nawet śpiących śmacznie w ławkach.

Nie lepiej przedstawia się sytuacja na wykładach profesora Mikołajewskiego z geografii gospodarczej i prof. Kamińskiego z matematyki wyższej.



Problem zachowywania się na wykładach był już poruszany na „Błyskawicy” ogólnouczelnianej. Ale sprawą tą nikt się bliżej nie zainteresował, nawet aktywniśi zetempowscy, którzy przestali sami podobnie postępować. A przecież ta sytuacja powinna być natychmiast uzdrowiona!

J. Demlańczuk
WSE Szczecin

Od strony kuchni

„Wszyscy czekamy na wyniki pracy w kierunku polepszenia sytuacji stołówki...”

Kto czeka? Konsumenci? Otóż nie tylko... Powyższe oświadczenie złożyły na konferencji poświęconej sprawom stołówki UMCS: Ekspozytura ZOA, Lubelska Spółdzielnia Spożywców, Delegatura Ministra SW i niektóre instancje ZSP oraz Komisja Stołówkowa; sęk w tym, że z tego czekania chyba niewiele może być korzyści. A już najmniej dla lubelskich studentów. Ale zostawmy ponure wnioski... PozwólmY przemówić faktom.

Lubelskie środowisko studenckie obsługuje dwie stołówki. Jedną z nich mieści się przy ulicy Sowńskiego, druga w Domu Profilaktycznym. Na obydwie studenci bardzo się skarżą. Brudne, niedomyte naczynia, brak nakryć stołowych, niepunktualność w wydawaniu posiłków są przyczyną stałego niezadowolenia. A przy tym rzecz chyba najważniejsza: posiłki nie zawsze odpowiadają normom pod względem kaloryczności.

Komisja Senacka, przeprowadzając w listopadzie ub. roku kontrolę, stwierdziła, że wartość kaloryczna dziennych posiłków według podanej receptury wynosi 1700 kalorii, (na wymaganych 3500). Co prawda w bieżącym roku stan ten uległ poprawie, ale jeszcze nie całkowicie.

Co tymczasem robią instytucje, które ponoszą odpowiedzialność za pracę w/w stołówek?

Instytucje te od dłuższego już czasu starają się odpowiedzialność tę od siebie odsunąć. Na przykład władze uczelniane wyrażają zainteresowanie, owszem; (choćby przeprowadzenie wspomnianej kontroli) ale to wszystko. Nie było wypadku, aby zatroszczono się o konsekwentne doprowadzenie do realizacji wysuniętych na naradzie wniosków.

Delegatura Ministerstwa gromadzi wprawdzie u siebie kopie wszelkich spraw dużych i małych, związanych ze stołówkami, wysyła też wielce urzędowe pisma do różnych instancji, ale na tym kończy się działalność za jej dziedzinie. Papierkę za papierkiem wędruje do

segregatora, by tam świadczyć jako dowód troski o młodzież.

Zasadę „wszystko na papierze i nic bez paragrafu” wyznają również Ekspozytura ZOA i LSS. Od początku ubiegłego roku trwa spór o przeprowadzenie remontów i wyposażenie stołówek. Obydwie strony grożą sobie... „Monitorem” — zasilanym się brakiem funduszy.

A sprawa funduszy, w szczególności zaś gospodarowania nimi, to zupełnie nieprawdopodobna historia.

Ze wszystkich alarmujących i niebezpiecznych pism wynika, że środowisko lubelskie ma trudności zaspokojenia Ekspozytury i ZOA są bezzwłocznie akceptowane przez zwierzchnie instytucje. I tak: stołówki studenckie w Lublinie otrzymały milionowe sumy na wyposażenie. Ekspozytura zakupiła nowoczesne kotły, elektryczną obieraczkę do ziemniaków, elektryczną chłodnię, gazową zmywalkę i inne urządzenia mechaniczne.

Z tego obecnie nieczynne są: obieraczka do ziemniaków, ponieważ zakupiono ją bez silnika; chłodnia, w której brak automatycznego wyłącznika (ręczny nie działa) i zmywalka nie mająca zastosowania w stołówce bez dopływu gazu. Kotły zostały przepalone po dwóch czy trzech miesiącach z powodu nieumiejętności ich używania. (Instrukcja została personelowi stołówki doręczona dopiero po awarii).

Czy taka powinna być gospodarka społecznymi funduszami? Czy nie jest to raczej beztroskie marnotrawstwo? Nad złamanym widelcem debatują wszystkie niższe i wyższe instancje; nad marnotrawstwem sięgającym dziesiątków tysięcy złotych zarówno Ekspozytura ZOA jak i LSS przechodzą do porządku dziennego.

Obydwie instytucje występują wciąż o nowe dotacje i wykorzystują je bardzo niefrasobliwie, obdarzając się nawzajem odpowiedzialnością.

A jak „wychodzą” na tym studenci? Jak najgorzej.

Potrzebna im jest i to jak najpilniej trzecia stołówka, ponieważ dotychczasowa, dostępna dla ogółu

studentów stołówka w Domu Profilaktycznym, musi być bezzwłocznie wydzielona tylko dla chorych. Wydział Zdrowia MRN wydał w tej sprawie decyzję jeszcze jesienią; niestety sprawa nie ruszyła z miejsca. Występowano co prawda o lokal po byłym punkcie zbiorowego żywienia „Zytki”, ale „stał on przydzielony właśnie Wydziałowi Zdrowia z przeznaczeniem na klinikę.

Nie pomogła nawet argumentacja, że lokal ten ma doskonałe zaplecze gospodarcze i wyposażenie dla stołówki, które klinika będzie musiała usunąć. Wobec oporu MRN zamierzano dalszych starań. Za dużo trudu... Przy tak poważnym zaabsorbowaniu sporem „ZOA — LSS” (nie tylko z zainteresowanych ale i innych instytucji, które zakładają się o wynik „walki”) nie starczy czasu ani chęci na zajmowanie się „pobocznymi sprawami”. Zresztą kierownik Ekspozytury oświadczył kiedyś ob. Jagoszewskiemu — dyr. Wydziału Żywności Zbiorowego LSS, „że ma ważniejsze sprawy od stołówek”.

Mamy nadzieję, że Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego zainteresuje się bliżej konfliktem tych dwóch instytucji i położy kres ich dotychczasowemu „gospodarowaniu” państwowymi funduszami. Nie zwalnia to jednak samych studentów od zwiększenia troski o lepszą pracę stołówek. KU ZSP powinien nie zwlekając zająć się zorganizowaniem Komisji Stołówkowych i czuwać nad realizacją ich zadań. Gdy członkowie Komisji Stołówkowych uświadomią sobie, że oni właśnie zostali powołani do reprezentowania interesów kolegów i swoich własnych, że oczekuje się od nich nie tylko pomocy w pracy kierownictwa stołówek, ale i jej systematycznej kontroli, gdy obowiązki swoje będą wypełniać sumiennie — stan tych placówek niewątpliwie ulegnie poprawie, a młodzież nie będzie miała powodów do skarg.

Gospodarzami stołówek są przecież sami studenci — trzeba tylko żeby podjęli tę gospodarską rolę. Na wyniki pracy nie wolno oczekiwać — musimy o nie walczyć.

B. KRĘCIELEWSKA

Eça de Queiroz: „Zbrodnia księdza Amaro”; z języka portugalskiego przełożyli M. Holyńska i E. Gruda, „Czytelnik”, 1952, str. 468.

Pierwsza powieść z klasycznego dorobku literatury portugalskiej udostępniona czytelnikowi polskiemu przeszło rok temu, to pozycja, do której warto wrócić. Już za sam fakt sięgnięcia do tak niedostępnej dla większości czytelników literatury należy podziękować wydawnictwu i tłumaczom. A nie jest to jak zobaczymy, bynajmniej powód jedyny.

Zanim zajmiemy się samą książką, kilka informacji o autorze. José Maria de Eça de Queiroz, urodzony w roku 1845, jest bodaj najwybitniejszym powieściopisarzem swego kraju. Pomnik na Largo do Barao de Quintela w Lizbonie, przedstawia go jako słusznego wzrostem mężczyznę, o wspaniałej, drapieżnej twarzy przypominającej profil C. F. Ramuza, w momencie gdy pochyla się nad młodą, na pół obnażoną postacią kobiecą, symbolizującą Prawdę. Zawarta jest w tym pomniku wielka metafora, za mykającą działalność pisarską Queiroza, który przekazał nam prawdę o swoim kraju i swoim czasie, na tyle, na ile pozwoliły mu na to warunki i ograniczone klasy. Swą działalność literacką rozpoczął on jako felietonista w lizbobońskiej „Gazeta de Portugal”, pozostając pod wpływem romantyzmu, który w tym czasie panował niepodzielnie w literaturze portugalskiej. Dopiero w końcu lat sześćdziesiątych, na skutek rozwoju stosunków społecznych w kraju, zaczęły przedierać się do Portugalii wpływy realizmu francuskiego (Balzac, Flaubert, potem Zola).

W roku 1875 ukazuje się pierwsza większa powieść Queiroza

LUDWIK GRZENIEWSKI

Flaubert literatury portugalskiej

„Zbrodnia księdza Amaro” (O crime do Padre Amaro), będąca dziełem całkowicie dojrzałym i artystycznie doskonałym)

„Zbrodnia księdza Amaro” to jeden z najwspanialszych pomników XIX-wiecznego, zachodnio-europejskiego realizmu krytycznego. Queiroz najbliższy jest w niej Flaubertowi: „Zbrodnia księdza Amaro” to jakby „Pani Bovary” jeśli chodzi o analizę namiętności i życia prowincjonalnego i „Wychowanie sentymentalne” jeśli chodzi o szersze tło społeczne, przy czym Queiroz dojrzałością i przenikliwością swej analizy życia społecznego przewyższa Flauberta. Już współcześni wysoko cenili twórczość wielkiego realisty portugalskiego. Oto co według historycznej anegdoty powiedział Emil Zola do Portugalczyka przygnębionego wieścią o śmierci Queiroza: „Słusznie go tak oplakujemy. To był wielki pisarz. Moim zdaniem większy od Flauberta”. — I dodał z westchnieniem: „A przecież Flaubert to mój mistrz”.

Z poza opisu jednostkowej zbrodni księdza rozciągają się szersze horyzonty: w powieści mamy nie tylko wytłumaczenie przyczyn i możliwości postępowania księdza, nie tylko wyjaśnienie roli duchowieństwa w dziejach ówczesnej Portugalii; rozciąga się tutaj przed nami wspaniała panorama artystyczna, na podstawie której można sobie zrekonstruować historię owych lat, ich atmosferę i przebieg najważniejszych zagadnień społecznych okresu. Powiedzmy najpierw parę słów o głównym bohaterze. Amaro Vieira urodził się w Lizbonie, w domu markizy de Alegros, gdzie rodzice jego byli służącymi. Po ich śmierci markiza zaopiekowała się malcem i w piętnastym roku życia oddała go do seminarium, na co pozostawiła legat w testamentie. Po otrzymaniu święceń kapłańskich, Amaro — po krótkim pobycie w nędznej parafii górskiej, za protekcją najmłodszej

córki markizy i jej męża, hrabiego de Ribamar, konserwatywnego ministra — dostaje probostwo katedralnego kościoła w Leirii.

Tak zaczęła się kariera młodego księdza. W Leirii Amaro spotyka dawnego profesora z seminarium, kanonika Diasa, który od 10 lat żyje z senhorą Joaneirą, jedną z czolowych tamtejszych dewotek. Młody proboszcz zamieszkuje w jej domu, dowiadując się o tajemnicy swego mistrza i z kolei uwodzi córkę gospodyni. Spotkania jej z księdzem upozorowane są doskonałe. Oficjalnie dziewczyna chodzi do domu dzwonnika przy katedrze, by podnosić poziom moralny sparaliżowanej córki sługi kościoła.

Ksiądz, gdy pierwszy raz zламаł postanowienia soboru trydenckiego i przespłnął się w górach z pasterką na słomie, odczuwał jeszcze wyrzuty sumienia, ale „działało się to w czasach jego niewinności, przesadnie nabożnych uczuć i młodzieńczych obaw! Teraz miał oczy otwarte na rzeczywistość. Opaci, kanonicy, kardynałowie i pralaci nie grzeszyli na słomie w tajni. Odhwalali się grzechowi w wygodnych alkowach po dobrej wieczerzy. I kościoły nie zawalały się, i św. Michał Miścieli nie opuszczał stęchły niebiańskiśmi z powodu takich drobniactw!” Toteż gdy kanonik Dias odkrył stosunek księdza z Amelią, ten oświadcza mu: „Obaj przekroczyliśmy pewną granicę, przysię — to wszystko. Skoro wasza wielbłość przychodzi teraz, by prawić moralę — to mnie tylko śmiejesz. Moralę są dobre w szkołach i na kazaniu. W życiu ja robię to, ksiądz kanonik tamto, inni robią co innego. Ksiądz profesor, ponieważ ma swoje lata, zaleca się do starszej, ja, ponieważ jestem młody do młodziej. Smutne to, ale cóż robić? Natura ma swoje wymagania. Jesteśmy ludźmi. Jako kapłani powinniśmy ratować honor kleru, przeżyć nad tym do porządku dziennego i ukryć te sprawy”.



Rys. Jerzy Cwiertnia

lerię dewotek, księży, małomiasteczkowych galantów, kupców i głupców. Oto konserwatywna kołtuniera, podpora rządów reakcji i wstęcznictwa w Portugalii. Ale pisarz idzie jeszcze dalej. Piętnuje „liberalów”, pokazuje reakcyjność i tęgodę mieszczańskich „postępowców”. Przerazająca jest wręcz pasja demaskatorska Queiroza: pod jego ostrym, bezlitosnym spojrzeniem opadają wszystkie pozory i maski, ukazuje się ponura prawda o Portugalii z lat 60-tych zeszłego stulecia. Ale prawda pisarza jest jednostronna: poza straszliwą nęcą, jaką niesie ustrój społeczny, poza podłością i cynizmem ludzi przezeń ukształtowanych, Queiroz nie

dostrzega nawet promyka światła: nie widzi żadnej siły społecznej, żadnej klasy, która mogłaby zmienić istniejący stan rzeczy. Dlatego, gdy będziemy czytali doskonałą powieść Queiroza, gdy wejrzemy w bagno, które pokazuje nam ten bezwzględny demaskator, musimy pamiętać o jego ograniczoności właściwej całemu zachodnio - europejskiemu realizmowi krytycznemu.

Gdyby kogoś z czytelników zainteresował autor „Zbrodni”, odsyłam go do nardziej szczegółowego artykułu zamieszczonego przeze mnie w 10 numerze „Twórczości” z 1952 roku



Sport Sport Sport



Sport na wczasach

Jedziemy na wczasy! Kierunek — Jelenia Góra! Dwukilometrowy odcinek trasy od tramwaju w Przesele do naszego domu wczasowego — to nasza pierwsza zaprawa sportowa, do zdobycia „Odznaki Górskiej”.

Droga nie się wysoko wśród rozrzuconych domów wczasowych. Piękno krajobrazu wywołuje okrzyki zachwytu. Wśród naszej warszawskiej grupy studentów są Chińczycy, Koreańczycy i Albańczycy.

Nie tylko z nazwy nasz dom wczasowy jest „Złotym Widokiem”. Roztacza się stąd wspaniały górski krajobraz. W dali zarysowuje się kontur „Śnieżki”.

Jeśli mam być szczerzy, to nie wierzyłem, by można było zorganizować tu na wczasach życie sportowe. Mamy przecież tylko siedem dni. Tymczasem — następny ranek wita nas gimnastyką. Po śniadaniu wycieczka. Cel — „Samotnia”.

Długim sznurem pniemy się stromą drogą. Przed nami 15 km górskiej drogi. Jest to pierwszy etap zdobywania „Odznaki Górskiej”. Wspinaczka jest czasem uciążliwa. Bardziej wyrobieni pomagają słabszym. W drodze pokonywujemy

stromie progi skalne. Wreszcie „Samotnia” zaludniła się i rozbrzmiewa wesołymi odgłosami. Widok, jaki się stąd roztacza nagradza so wicie nasz trud. Jak na dłoni widzimy Śnieżkę.

Następnego ranka zrywa nas z łóżek okrzyk: śnieg! Wyglądamy przez okna. Cała okolica spowita jest białym całunem. Spieszymy do magazynu sportowego, skąd otrzymujemy narty i buty. „Białe szaleństwo” porywa wszystkich. Najostrożniejsi zjeżdżają z łagodnych zboczy. Nieufnie do nart odnoszą się Albańczycy. Popularny w naszej grupie „Kocio” inicjuje jednak odważny zjazd z samego szczytu. Wprawdzie kończy go na siedzeniu, to jednak nikogo nie odstrasza.

Pogoda przez cały czas trwania wczasów jest wspaniała. Trzeciego dnia idziemy do Bierutowic. Trasa jest trudna. Pniemy się około trzech godzin. Droga czasem bywa tak stroma, że chwytamy się przydrożnych krzewów. Koło południa zmęczeniu lecz radości stajemy u celu. Zwiędzamy kaplicę „Wanga”. Od Śnieżki dzieli nas niewiele ponad 5 kilometrów.

Najprzyjemniejszą wycieczką gór-



Śnieg. Idziemy na wycieczkę. Jest u nas taki Albańczyk „Kocio”. Chodzi z kijkiem i w kapeluszu nawet na wycieczki górskie.

ską jest zdobywanie Śnieżki. Pod jej strome zbocze podchodzimy dość długo. Dopiąwszy celu górujemy nad całą okolicą. Przed nami rozległy górzysty teren, gęsto porośnięty lasem. W promieniach słońca wszystko skrzy się i biele. Bilans naszego sportowego życia

na wczasach jest dodatni. Uczciwie zdobyliśmy 25 odznak górskich. Zorganizowana została wycieczka terenowa na nartach. Zwycięsko rozegraliśmy spotkania ping-pongowe i szachowe z innymi domami wczasowymi.

MICHAŁ GARDOWSKI

JERZY WINNICKI

Francja i Polska

Losy Francji są bliskie sercom Polaków. Historia związała tysiącami niemi naród polski z narodem francuskim. Czy możemy nie pamiętać o Francji, gdy słuchamy mazurków Chopina? Czyż w „Etydudzie Rewolucyjnej” nie slychać odgłosów walk zarówno ludu francuskiego jak i polskiego? Czy wspominając naszą wielką rodaczkę, Marię Skłodowską, możemy choć na chwilę zapomnieć o jej genialnym małżonku, Piotrze Curie, i o ich wspólnym pomniku w nauce, który wzniesli sobie wspólną pracą na ziemi francuskiej?

„Od przeszło 100 lat — powiedział sędziwy bojownik francuskiej klasy robotniczej, Marcel Cachin, podczas spotkania w Warszawie z robotnikami polskimi — ustaliły się między Polską a Francją więzy przyjaźni, więzy uczuciowe, które przeżywały się podczas pierwszej rewolucji francuskiej, a zacieśniły się następnie podczas rewolucji w latach 1848 i 1871, kiedy szlachetny naród polski wysłał do naszego kraju ludzi, którzy tak odważnie walczyli we Francji o wyzwolenie ludzkości. Francja nie zapomni nigdy tych więzów, łączących ją ze szlachetnym narodem polskim”.

Na ziemi francuskiej mieszka i pracuje półmilionowa emigracja polska. W ciężkich dla narodu francuskiego dniach wojny z hitlerowskim najeźdźcą polscy robotnicy i górnicy stanęli u boku patriotów francuskich, wspólnie z nimi przelewając krew w walce z faszystem. Partyzanci polscy z batalionu im. Kościuszki walczyli o wyzwolenie Saint Etienne, Comeniry i Montluçon. Bili się Polacy z oddziału im. Bartosza Głowackiego w okręgu Gard. Polski batalion im. Mickiewicza, złożony z

górników, walczył bohatersko w okręgu Senne et Loire. Polska Milicja Patriotyczna w Północnej Francji była prawdziwym „pospolitym ruszeniem” polskiej emigracji pracującej. Nazwiska Polaków — Kubackiego, Gduli, Obody, Tereszkii, Leskiewicz, rodziny Burczykow- skich, Kępy i wielu innych wspomina się ze czcią przez patriotów francuskich.

Wspólnie przełana krew „za waszą naszą wolność” scementowała na zawsze odwieczną przyjaźń polsko - francuską. Historia dowodziła, że obydwaj narody mają tego samego wroga: agresywny, krwiożeczny, podstępny i bezczelny imperializm niemiecki. Ilekroć w przeszłości nad brzegami Wisły zjawiali się najeźdźcy niemieccy, tykroć równocześnie u bram Paryża rozlegał się tupot podkutych butów żołdaków wojujących Niemiec.

Dzięki pokojowej i dalekowzrocznej polityce Związku Radzieckiego na zachod od naszej granicy na Odrze i Nysie istnieje dziś i rozwija się pierwsze w historii pokojowe państwo niemieckie — Niemiecka Republika Demokratyczna, NRD żyje w przyjaźni z Polską Ludową, słowem i czynem dając wyraz przyjaźni dla narodu francuskiego i wszystkich narodów pokój milujących. To właśnie Izba Ludowa — parlament NRD — skierowała do francuskiego Zgromadzenia Narodowego apel, aby odrzuciło ono układ o „armii europejskiej”, który propagandą waszyngtońska i bońska usiłuje podstępnie przedstawić jako niewinną „wspólnotę obronną”, jako wyraz „wiecznej zgody” między Francją a Niemcami. Ale agresywnego sztytu nie da się ukryć w „obronnym” worku. Najwybitniejsi prawnicy francuscy oraz wielu znanych polityków francuskich, nie tylko komunistów — bez trudu rozszyfrowało, na czym owa „zgoda” parysko - bońska ma polegać na skasowaniu francuskich narodowych sił zbrojnych, na likwacji suwerenności państwowej Francji, na dobrowolnym wypuszczeniu na terytorium Francji garnizonów zachodnio - niemieckich przystrojonych w mundury „europejskie”. Odwetowcy bońscy nie ukrywają również, że celem wskrzeszenia tego Wehrmachtu jest „odzyskanie” polskich ziem na wschód od Odry i Nysy. Aczkolwiek ciszej nieco, ale nie mniej bezczelnie wspominają oni o „odwiecznie niemieckich” prowincjach — Alzacji i Lotaryngii.

Najszlachetniej i bezinteresownie, dla mił europejskiej” zdemaskowała we Francji klasa robotnicza i jej partia — Komunistyczna Partia Francji. Dziś z ogromu niebezpieczeństwa zagrażającego Francji i pokojowi świata w wypadku wskrzeszenia Wehrmachtu zdaje sobie sprawę przytaczająca większość narodu francuskiego. Najzagorzalsi agenci tej zdradzieckiej polityki imperializmu stają się coraz bardziej izolowani i nie mogą zdobyć się na śmiałość w przedstawieniu układów o „armii europejskiej” do zatwierdzenia parlamentowi francuskiemu. Coraz częściej rozlegają się głosy polityków burżuazyjnych, którzy ostrzegają francuską opinię publiczną przed skutkami polityki „europejskiej”. Deputowany republikańskiej partii URAS, Lebon, ogłosił niedawno w tygodniku „Tribune des Nations” artykuł, w którym usiłuje rozproszony dymną zasłoną kłamstw szerzonych wokół granic polskich przez propagandystów bońskich.

„Wiele osób — pisze Lebon — było zaskoczonych podróżą 9 deputowanych do Polski. Wystarczy jednak dobrze przyjrzeć się mapie, aby zrozumieć, jak bardzo równowaga Europy zależy od tych dwóch głośnych rzek: Odry i Nysy zachodniej... Francja z przyłączoną do niej Saara, Niemcy ograniczone Odrą i Nysą, Polska w swych obecnych granicach — są etnograficznie i gospodarczo zrównoważone, a ponadto są one zrównoważone również między sobą... Niemcy powinny się zgodzić z tym stanem faktycznym. Jedyną prawdziwą gwarancją pokoju, jaką mogą one ofiarować — jest lojalne przyjęcie granicy na Odrze i Nysie, zagwarantowanej Polsce przez każde z czterech wielkich mocarstw”.

Gwarancją naszych granic na Odrze i Nysie jest niewzruszona wola i gorący patriotyzm narodu polskiego, jest rosnąca siła naszego państwa ludowego, opierającego się na sojuszu klasy robotniczej z pracującym chłopstwem, na Frontie Narodowym najofiarniejszych synów i córek naszego narodu. Gwarancją naszych granic jest wieczysty sojusz z potężnym Związkiem Radzieckim i przyjaźń z krajami demokracji ludowej; są nią układy o granicy przyjaźni i pokoju zawarte z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Śmiało patrzymy w przyszłość, świadomi, że już nigdy więcej nie zdola nas zaskoczyć powtórny Wrzesień.

Ale obchodzi nas los narodu francuskiego i nie chcemy dopuścić do niczego, co mogłoby zagrozić pokojowi Europy i świata. I dlatego z tak żywym zainteresowaniem obserwujemy i tak gorąco popieramy walkę narodu francuskiego przeciwko układowi o „armii europejskiej”, układom samobójczym dla Francji i brzemienym w groźne następstwa dla pokoju powszechnego.

POKRYWY

MAREK ZAKRZEWSKI

Ilustr. JERZY KARCZ

Reportaż, do którego tytuł sam się narzucił po przeczytaniu

Motto: „Słowem obrazisz, słowem ulecysz”, (stare przysłowie).

Godzina: 17.00.

Zadanie bojowe: reportaż błyskawiczny z Domu Studenckiego przy al. Niepodległości 147-149 w Warszawie.

Uzbrojenie: pióro wieczne, notatnik, ołówek, szkiecownik.

Już z odległości paruset metrów od Domu Studenckiego usłyszeliśmy metaliczny dźwięk i jakby chór głosów powtarzający niezrozumiałe dla nas, być może greckie, słowo.

Dopiero później okazało się, że to studenci i studentki SGPiS szczekają zębami i w przerwach intonują: „Zimno, zimno, zimno...” W istocie, w Domu Studenckim nieco zimnowo. Tu i tam popsute kaloryfery. Tu i tam brak od paru miesięcy szyb w oknach. Tu i tam nie dokręcone okna, bo... nie ma śrubokrętów.



Kuchnia? A jakże, jest. I jakie ładne maszyny.

Maszyna do mycia naczyń — nieczynna.

Maszyna do obierania kartofli — nieszczelna i źle ustawiona, woda potokami leje się na ziemię. Pracowniczkę brodzą po kostki w bajoru.

Maszyna do krojenia mięsa — nieczynna.

Kotły źle ustawione, za daleko od ścieków. Krany nieszczelne.

Na 30 „pracowników kuchni” przydzielono piętnaście sztuk chusteczek na głowę. Na 30 pracowniczków są 4 małe szafki na ubrania.

U kierowniczkę w pokoju z rur kanalizacyjnych wylewają się na podłogę nieczystości. W biurze stołówek brak okna, wilgoć. Magazyn kiszonek bez okna.

Prosimy na scenę inspektora BHP!

W nastroju przynębenia wychodzimy ze stołówek i przechodząc przez salę jadalną widzimy, jak studenci widelcami rozmawiają masło na chlebie. To podobno wygodniej niż łyżką...



Kierowniczka Gawrońska pokazuje nam wielką księgę z kopiami pism interwencyjnych do ekspozytury ZOA. Niestety, wszystkie pisma spotyka ten sam los: pozostają bez odpowiedzi. Zupelnie słusznie, po co odpowiadać na pisma, skoro najwidoczniej nie ma się zamiaru ani reperować kaloryferów, ani wprawiać szyb, ani... Powoli, zaraz się przekonamy, czego jeszcze nie ma się zamiaru zrobić.

W pokoju kierowniczkę wisi apteczka. Czego w niej nie ma! Właśnie, prawie wszystkiego. W domu na kilka tysięcy studentów nie ma też izby chorych, nie ma ambulatorium. Kolega Karcz z triumfem wykrzyknął: „O, jest jeden termometr!” Rzeczywiście, jest. Jeden! Schodzimy na dół, do stołówek. Śliczna sala jadalna. Ale nas dzisiaj mniej interesuje to, co śliczne. Wchodzimy do pomieszczeń gospodarczych.

Idziemy na górę — obejrzeć pokoje mieszkalne. Oprowdza nas kol. A. Supernat z samorządu. Z dumą pokazuje gazetki ścienne i pokoje, które otrzymały odznaczenia w konkursie czystości. Ale my wolimy oglądać te, które nie otrzymały odznaczeń.

W skrzydle zamieszkałym przez studentki, na pierwszym piętrze: kuchnia. Pusta. Trzy kucharki gazowe, na których nie się nie gotuje, palą się pełnym płomieniem. Po kątach stopy śmieci, podłoga zalana. Brudno. Na sznurku wpoprzek kuchni suszą się... Mniejsza o to, co się suszy. Suszy się poza tym w każdym pokoju, na każdej szafie, na każdym kaloryferze. No, bo gdzie ma się suszyć?

W pokojach przeważnie obrazki. Ładne obrazki, przybite do ścian. Hacerami czy też trzycałowymi gwóźdźkami.

Wszędzie, gdzie wchodzimy, pytamy, kto jest czytelnikiem „POPROSTU”. Odpowiada nam zgodny chór: „Wszyscy”. „A który numer czytać?” — „Pamięć ostatnio!” — Padają różne odpowiedzi: 49, 50. Ponieważ mamy w kieszeni numer 52, wszystko jest w porządku. Cóż to znaczy dwutygodniowe opóźnienie wobec rzeczywistości. Dla kolporterów wydziałowych z SGPiS to mucha.

Idziemy korytarzem. Spod drzwi padają jasne smugi światła. Nie ma pógów. Widocznie chodzi o dodatkowe oświetlenie korytarzy. Po nogach gwóźdźki nam wiatr. Ale to głupstwo, niedługo przyjdzie lato.

Niektóre drzwi ledwie się trzymają i grożą wypadnięciem wraz z futrynami. Czy zgłaszano ten przykład brakorobstwa budowlanego? O, ile razy! Odpowiadają, żeby studenci ostrożnie drzwi zamykali, to futryny nie wylecą.

Właśnie pukamy do drzwi pokoju nr 330. Zamknięte na klucz, ale sączy się z nich światło. Po chwili klucz zostaje przekreślony, wchodzimy. Czterech studentów. W kłapkach znaczki ZMP. Na stół wyjeżdża właśnie jakaś książka, a znika z niego talia kart. Nie przeszkadzamy więc i idziemy dalej.

Tu i ówdzie na podłodze stopy książek. Brak półek. ZOA obiecał uzupełnić etażerki jeszcze w październiku. Aha, ZOA obiecał, no to lepiej odesłajcie, kolezdy, książki do domu. Po co się mają walać po podłodze do wakacji?

Kierujemy się do wyjścia. Potem parę minut spędzamy na rozmowie z przemiłą kierowniczką, ob. Gawrońską, i wychodzimy na ulicę.

Cóż na to „Samorząd”?
Cóż na to ZU ZMP?
Cóż na to ZOA?
Cóż na to DRN?

W naszym OGRODKU

Najlepszą grządkę w naszym ogródku poświęcamy dziś... „Naszemu Ogródkowi”. Za balagan „W naszym ogródku”.

Bo stał się przykry wypadek.

A było tak: wśród prezentów na Nowy Rok mieliśmy kota. I przez niedopatrzenie kot został ofiarowany nie temu, dla kogo był przeznaczony. Zamiast Akademii Medycznej we Wrocławiu — Uniwersytetowi Wrocławskiemu. Serdecznie więc przepraszamy ZSP przy Uniwersytecie i prosimy jak najszybciej przekazać kota Akademii Medycznej. Poniesiemy wszelkie koszty żywienia go przez dwa tygodnie. Tylko prosimy nie

LESZEK BAKULA

Głos wołającego o ciszę

Jeszcze śni mi się słodko. Ze zdałem już egzamin... Ach — jeszcze na lewy boczek... Skąd? Boks trenują nad nami.

Więc patrz nabożnie w sufit. (Jest pewnie piąta godzina). Zerwany tamtych zapalem. Podskoki ćwiczyć zaczynam.

Kurz fruwa. Otwieram okno. Wis à vis Tarzan w pokoju Wyje, że można dostać Żoładkowego rozstroju.

Na śniadanie więc biegnę. I w strachu wracam aż wieczór. Tak cicho... ach — jak marzenie Pełne naukowych przeczuć.

Tylko się zabrał czytać. A więc mój sąsiad, skrzypek, Pomaga mi odnaleźć W poezji współczesnej rytmikę.

Telefonuję przez ścianę. Żeby się zamknął. Nie słyszy. Wtem — o muzyczne skaranie! Harmonia mu towarzyszy.

Kiedy sen mi już kleił Pracą strudzone powieki Caimera musiałem słuchać. Miał radio sąsiad daleki.

Potem — ktoś za potrzebą Biegi kolo drzwi jak sto koni Z powrotem — gwizdał „Kalinkę” Aż ktoś go skłął i wygonił.

I tak usnąłem o pierwszej. Żeby o piątej od nowa... O, ZOA Naucz ich ciszy A najgłośniejszych wyprowadź — z Domu Studenckiego przy Placu Narutowicza.

związać z oddaniem kota, gdyż ma on do spełnienia ważną dziełową misję: pożreć wszystkie szczury, które latają po lokalu ZSP przy AM we Wrocławiu i zjadają czekające na kółportu POPROSTU.

Jeżeliby jednak kot był potrzebny również i Uniwersytetowi Wrocławskiemu, to prosimy, dać nam natychmiast znać. Mamy jeszcze jednego. O, właśnie, tego w klatce.



LISTOPAD:

— Proszę kolegów, powinniście uważać się za wybrańców losu — przemówił do grupy studentów WSE w Częstochowie przedstawiciel ZOA w tamtejszym mieście. — Za kilka dni przeprowadzicie się do ślicznych, czystych, komfortowych urzędowych, ogrzanych, luksusowych, wygodnych, jednym słowem „cacy” pomieszczeń w Domu Studenckim nr 3. Okazacie więc swoją wdzięczność i głosić do-koła, jak cudowny jest ZOA.

GRUDZIEŃ:

Do redakcji POPROSTU nadszedł list od kol. Dormasa Jana i grupy studentów z WSE w Częstochowie.

No i przeczytaliśmy w tym liście co następuje: „Do Domu Studenckiego nr 3 wprowadziliśmy się 15 listopada. Od miesiąca czekamy na wstawienie wanien i natrysków do pustych, brudnych lokali przeznaczonych na łazienki. Zwracaliśmy się do ZOA kilkakrotnie, ale bez żadnego skutku. Na studentów czeka świetlica, wiatwiecie ciemna, zimna niby pro-sektorium, brudna sala”.

Dowiedzieliśmy się również z tego listu, że studenci obróbił już brudem, bo nie mają jak i gdzie się myć. Skorzystał z tego funkcjonariusze ZOA i nie opalają lokalu, twierdząc, że brud chroni od zimna.

Znimy więc zadość pierwotnemu życzeniu ZOA i głosimy wszem dookoła: „ZOA w Częstochowie jest cudowny! Położyć i oprawić w ramki. Ku przestrodzie”.

ZAK.

TAST

O pawną pannię

Długo się starała, długo się uczyła.

Z dziesięciu na ośmiu wykładach nie była.

Aż dzięki wielkiemu — jak wiadać staraniu

Stanęła przed dziekanem: PAN-NA NA WYLANIU.

